



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół. kwartal. 5 marek.

Nowa myśl pedagogiczna.

— Chociaż to życie idzie po grudzie, jak mi Bóg miły nieźli są ludzie!.. zawołać można z poetą, czytając o szlachetnie rozumnej dobroczynności dwóch francuzkich pedagogów. Państwo każde daje dziecku ludu — dziecku rodziców ubogich, szkołę mniej więcej dobrą, gdzie promyk światła, przenikając do umysłu, ciemność grubej niewiedomości rozjaśnia i wykazuje, gdzie jest prawa, gdzie lewa strona życia, kierunek życiu temu wyznacza. Ale wiedza złego i dobrego nie zawsze jeszcze wystarcza, aby dążyć prosto i równo do tego celu, który stanowi o doli i niedoli naszego życia, o jego godności i dorobku moralnym. Człowiek nie jest istotą z jednej sztuki. Są wpływy przykładów, które oddziaływały na niego, są namiętności, unoszące go tam, gdzie rozum być zakazuje. Szlachetnej też filantropii jest to dziełem, ułatwiać człowiekowi drogę życia w ten sposób, aby umiał się trzymać strony jego prawej. Robotnik, pracujący tydzień cały, ma nie tylko prawo odpocząć w dniu jego siódmym, ale należy mu się i coś przyjemności zażyć, coś świąteczności w życie swoje wprowadzić. Porankiem kościół otwiera mu podwoje swoje, gdzie spotyka się z najwyższym ideałem życia: z myślą o zaziemskim istnieniu swoim i, szukając Boga w błękitach, podnosi wzrok ku górze. Gdy przecież uroczysta ta chwila przeminie, czyż leniwy odpoczynek ma być jedynym używaniem chwil życia świątecznych? Rozrywka, zabawa jakaś jest mu potrzebna, ale powinna to być rozrywka, zabawa dobra, i ktoś z mądrych ludzi rozumnie powiedział, że stopień cywilizacji narodu poznaje się po tem, jak lud jego się bawi.

Zrozumieć to i jedną gałęzią filantropii, jedną gałęzią miłości bliźniego uczynić zajęcie się dobrą zabawą klas mniej oświeconych, jest aktem prawdziwie chrześcijańskiej dobroczynności, której dwa szlachetne przykłady przedstawia obecnie Paryż. Juliusz Cuvillier, nauczyciel niższej okręgowej szkoły chłopców, zauważył ze smutkiem i podziwieniem pewnem, że najlepsi jego uczniowie, okazujący zarazem cechy szlachetnego charakteru, ci, z którymi pragnął zachowywać stosunki i po wyjściu ich ze szkoły, bardzo prędko tracali ten moralny ideał życia, który usiłował wszczepić w ich przekonania, a działo się to bez żadnych szczególnie złych, psujących wpływów. Życie samo zdawało się ich demoralizować — zacierało pojęcie osobistej godności człowieka, aż uważniejsza obserwacja warunków ich istnienia naprowadziła pedagoga na myśl, że młodzież klas niższych nie ma się gdzie bawić dobrze i psuje się przez złą zabawę. Trzeba było zatem, chcąc to usunąć, dać jej możność — dać jej sposobność rozrywki uczeiwej, rozrywki szlachetnej. Za inicjatywą Cuvillier'a, za jego staraniem, kilku ludzi dobrej woli złożyło się na wytworzenie pewnego rodzaju klubu, któryby dostarczał wspomnianej młodzieży zabawy dobrej, zabawy kształcącej.

W XII okręgu Paryża najęto obszerny lokal, gdzie w Niedziele i Święta, w czasie feryi, młodzież zbierać się mogła, znajdując tu przyjemne czasu spędzenie: latem urządzano odpowiadające naszym majówkom wycieczki, zwiedzanie miejsc historycznych, muzeów, fabryk wielkich; obok ćwiczeń gymnastycznych było strzelanie do celu, fechtowanie się, w porze zimowej odczyty w rozmaitych przedmiotach, a powodzenie nadspodziewane, uwieńczające pocziwe to dzieło, wykazało, że dobry kierunek dany zabawie klas średnio wykształconych, może się stać jedną z wielkich dźwigni cywilizacji i moralności.

Rzecz oddziaływała jako przykład dobry. Inny

nauczyciel szkoły paryskiej przy ulicy d'Aligre, Robert Picard, postanowił naśladować swego koleżę, starając się, aby węzeł łączący uczniów jego ze szkołą nie zrywał się z jej opuszczeniem — aby młodzież ta, rozproszona wśród ludności wielkiego miasta, spotykała się od czasu do czasu w miejscu, gdzie to spotkanie wywierałoby wpływ podnoszący serca i umysły — oddziaływało na słabszych, mniej pracowitych, mniej radzić sobie umiejących i przypominało im zamiary, nadzieje młodości, która zawsze i wszędzie wlatuje nad poziom, skoro tylko natura jest cośkolwiek szlachetniejszą. Zawiązało się też za jego staraniem „Towarzystwo przyjaciół szkolnych“, liczące obecnie 300 członków, zgromadzaających się w chwilach wolnych od pracy w lokalu dawnej szkoły, gdzie Picard przyjmuje ich, jak ojciec synów, i usiłuje, aby czas tych zebrani koleżeńskich przepędzali dobrze, wesoło. Urządza im zajmujące odczyty, teatru amatorskie, oraz wieczorki, na które zaprasza i rodziny swych uczniów dawnych, — rodziców, rodzeństwo. Niejeden przybywa tu już z żoną i dobry wpływ tej zabawy oddziaływa w skutkach swoich tak szczęśliwie, że zwróciło to uwagę pewnego grona filantropów. Zamierzają oni urządzać podobne zebrania, nie tylko w różnych okręgach Paryża, ale i w miastach departamentalnych, w okolicach fabrycznych, a wśród zajmujących się tą sprawą osób odznacza się czcigodna kobieta z rodu starej szlachty. Marya Celestyna de Vauvenargues, panna lat już dojrzałych, zamieszkująca starą, odwieczną do jej rodziny należącą kamienicę w Nantes, zgromadza u siebie co tydzień, w Niedziele wieczorem, liczne grono kobiet, poważnie samotnych robotnic, które się tu zaznajamiają, bawią się rozmową, grammi towarzyskimi, a z pomiędzy nich bierze ze sobą często do teatru po kilka. W lecie wieczorki te niedzielne odbywają się na świeżem powietrzu, w ogrodzie należącym do kamienicy, którą właścicielka postanowiła zapisać ostatnią

wola swoją gminie miasta na rzecz tych, których stała się szlachetną przyjaciółką.

Biblioteka jej, złożona z książek tak oświecających, jak mogących bawić: podróży, pamiętników, powieści historycznych lub społecznych, zawsze przecież treści czystej i uczciwej, a której ona sama jest bibliotekarką, oraz znaczna liczba czasopism, które prenumeruje, nie tylko kształci umysły, ale dając dobre zajęcie świeżym dniom samotnych robotnic, broni ich od tych wszystkich niebezpieczeństw, jakie grożą młodości samotnie w świat rzuconej, bez opiekuńczego cienia domu rodzinnego. Marya Celestyna wytworzyła sobie w ten sposób jakby koło rodzinne i cały jej majątek przejdzie niewątpliwie na rzecz instytucji, która odpowiadała w stopniu pewnym temu, co za życia czyniła dobroczynnie, a co, nakazując szacunek dla jej osoby, przedstawia gałąź filantropii niemałego znaczenia, bo za jej pośrednictwem wytworzyć można, tak po wsiach, jak po miastach oświatę cywilizującą, podnoszącą umysły. Kompozytor czeski, Antoni Dworzak, pozwalający, aby jego nowe dzieło kantata: „Kolumb“, którą napisał dla sceny teatru opery w Nowym Yorku, gdzie da się słyszeć d. 12 Października, pierwszej była produkowaną w ogródkach Pragi, tak stoi w rzędzie szlachetnych cywilizatorów swego ludu, jakgdyby śleczął nad układaniem elementarzy i książek szkolnych.

M. I.

TOMCIO I ROMCIO

HUMORESKA

przez

ESTEFĘ.

(Dalszy ciąg).

Tymczasem ów pan w okularach pyta:

— Pan Tomasz Kalinowski?

Pan Tomasz głosem złamanym odparł:

— Tak, panie.

— Syn pana Mikołaja Kalinowskiego ożenione go z panną Wacławą Rokicińską?

— Tak, panie—odparł raz jeszcze pan Tomasz, myśląc: — Pewnie jaki dawny *amicus* papy. — Zkąd on mnie odkrył? W samą porę, nie ma co mówić!

— Czy z Kalinówki, z okolic Czerniowca?

— Tak panie.—Cóż mu u licha do tego—myślał pan Tomasz, ale głośno myśli swej nie wyraził, bo był pogrążony w apatyj.

— Pan będziesz tak dobry spakować rzeczy swoje i natychmiast wrócić pod dach rodzicielski.

— Waryat jakiś!—pomyślał pan Tomasz, ale się nawet nie zdziwił, w takiej był straszliwej apatyj, i patrzył na pół przytomnie na poważnego pana w okularach, zapomniawszy o wasie i o głodzie w tej chwili.

— Pan się dziwisz,—mówił dalej ten pan w okularach,—na jakiej zasadzie dyktuję mu prawa?

— Trochę — odparł zimno pan Tomasz z całą godnością, na jaką go stać było w obecnych ciężkich warunkach.

Tu ten poważny pan odpiął paltot a Tomcio myślał:—Winszuję, on chce tu się rozgościć.

Ale nie o to chodziło. Nieznajomy *deux ex machina*, odrzuciwszy połę od paltota, wskazał na mężką pierś swoją.

Pan Tomasz spojrział i zajrzał i—zadrżał.

Na owej męskiej pierśiśniał orzełek srebrny dwugłowy, nakształ orderu.

Pan Tomasz wiedział już, kim był ten pan w okularach. Był to pełnomocnik prawa krajowego. Był to człek najdłuższego ramienia i potęgi wielkiej, człek, na skinienie którego bataliony policjantów wychodziły, choćby zpod ziemi, gotowe stanąć na jego rozkazy.

Pan Tomasz zadrżał. Odbił błyskawiczny rachunek sumienia. Ależ nie. Nie zabił nikogo. Nie okradł. Nie oszukał.

Pomyłka być musi, jakaś nowa tragiczna komplikacja sposobi się widocznie.

— A teraz wiesz pan, że mam prawo pytać się o wszystko? — mówił poważniejszym głosem pan w okularach.

— Wiem—odparł pan Tomasz — ale nie rozumiem.

— Zrozumiesz pan. Wiele pan masz lat?

— *Höchst impertinent!*—pomyślał Tomcio i mimo głodu, mimo tragicznego położenia, nie mógł się oprzeć, by pana z orzełkiem w błąd nie wprowadzić. To prosta mistyfikacja, której się pan Tomasz bez wyrzutów sumienia zwykł względem swych bliźnich dopuszczać.

— Wiele mam lat? Mam lat dwadzie....

— Nie kończ pan; ja dokończę! Masz pan lat dziewiętnaście.

Panu Tomaszowi słabo się zrobiło, z głodu i z nadmiaru oburzenia.

— Nie jesteś pan pełnoletnim. Wykradłeś się z domu rodzicielskiego.

— Wyjechałem, bo...

— Ojciec pana pisze „Wykradł się“ ja zmuszony jestem trzymać się litery. Przepraszam bardzo. Otóż ojciec pana niespokojny szuka go z niestrudzoną gorliwością. Telegramy doszły nas tutaj. Jakim sposobem znalazłem pana? To prosta. Jesteś pan widocznie zacnym człowiekiem i nie zmieniłeś nazwiska. To byłoby zagmatwało sprawę. Tak, jak jest, nie ma nic zastraszającego, — cała rzecz pozostaje między ojcem a synem.

Na Tomciu skóra trochę zdrętwiała.

— Między ojcem a synem—kończył pan z orzełkiem.—Naturalnie, nie wątpię, że pan oporu stawić nie będzie i do powrotu nakłoni się bez trudności.

— Ależ, panie...

— To jest konieczne!

— Tylko niemożliwe, dla tej prostej przyczyny, że nie mam na bilet.

— Bilet się znajdzie: jeden dla pana, drugi dla tego, który pana na miejsce odstawi.

— Ależ, panie...

— To jest konieczne!

— To jest niemożliwe. Ja... ja umieram z głodu. Do stu tysięcy dyabłów! nie dowlóknę się do dworca kolei.

— Jeść pan dostaniesz. Śniadanie, obiad, wszystko, tylko zawsze w towarzystwie...

— Orzełka?

— Orzełka.

Pan Tomasz w tej chwili staczał walkę ze sobą. Uściskać tego człowieka jako zbawcę, czy za drzwi wyrzucić?

To ostatnie, choć był w stanie napół tylko przytomnym, wydało mu się niepraktycznym ze względu na legion tych, którzy, choćby z pod ziemi wychodzili, by panom z orzełkiem pomagać w trudniejszych warunkach.

Więc wybrał złoty środek i uściśnął rękę poważnego człowieka, mówiąc:

— Co ma być zrobione, zrobmy zaraz, — miałowicie, jeżeli o śniadanie chodzi. Potem zostawisz mnie pan na godzinę, zapakuję rzeczy, pójdę pożegnać znajomych i pojedziemy — w duchu pomyślał:

— Godzina czasu, — gdy zjem, namyśle się co począć dalej.

Bo choć był dobrym synem, serce nie rwało mu się do papy, w przekonaniu, że ojcowie z biblij są już zabytkiem zamierzchłej przeszłości, i że nie tłustym cielcem powitany zostanie w progach domowych.

Plany kielkujące w głowie młodego bohatera nie miały dojrzeć, bo pan z orzełkiem odezwał się łagodnie, ale stanowczo: — Co do śniadania, zgadzam się, skoro panu śpieszno, — ale co do owej godziny, — na to nie wolno mi przystać, — i choć z przykrością, muszę panu narzucić towarzystwo swoje lub swego zastępcy, tak w chwili pakowania się, jak podczas pożegnalnych wizyt.

— Ależ, panie.

— To jest konieczne!

— Niech się pan zastanowi. Jakże ja pana przedstawiać będę? Może pan zechcesz zostać

na dole, w salonie,—w czasie, kiedy ja skoczę na górę?

— Nie, panie, — ja skoczę razem z panem, — to nas nie opóźni; ale — trudno, to mój obowiązek. Taki rozkaz, po służbie.....

Pan Tomasz głowę zwiesił — no, i byłby tak może skamieniał na miejscu, gdyby nie myślał śniadania.

— Zawsze nawet z orzełkiem śniadanie lepsze, niż strychnina — postanowił w końcu i zrezygnowany zadzwonił na numerowego; po jego wejściu rzekł poważnie: — Proszę o „menu“ — pan z orzełkiem dodał: — I o rachunek.

Numerowy spojrział na tego pana ze zdziwieniem, bo orzełek był ukryty pod połą surduta, ale pan Tomasz powtórzył jak echo posłuszne:

— I o rachunek. Nim godzina minęła, młody bohater, pokrzepiony na siłach, powinien był z większą otuchą w świat spoglądać; ale zważywszy, że nie samem tylko ciałem żyje człowiek, nikt się dziwić nie będzie, iż wyjazd z Wiednia bez pożegnania panny Melanii, z tego Wiednia, gdzie się nadługo z pierwszym przychówkiem, z tym wąsikiem młodzieńczym rozstało—wyjazd z Wiednia w towarzystwie orzełka, towarzystwie narzucanem a niewiele rozrywki obiecującym, — wyjazd z Wiednia w perspektywie ramion ojcowskich w które będzie trzeba się rzucić zaraz na wstępie do Kalinówki!

Czyż jest jaki spis potraw na świecie, któryby mógł ułagodzić taką gmatwaninę zawistnych losów?

Każdy przyzna, że nie nie zdoła zmniejszyć rozpacz bohatera. Gdy siada do wagonu, z nieodstępnym cieniem, który go od rana prześladowa, pan Tomasz nabiera przekonania, że życie jest olbrzymią pomyłką, — że cała farsa bytu ludzkiego nie jest warta dymu, który się z jego papierosa i z lokomotywy unosi w tej chwili.

Epilog.

Minęły lata trzy.

Cudny dzień lipcowy promienieje tysiącem blasków na Michasiowej w Krynicy.

Sosny szeptem cichym gwarzą o tych zmianach, które zaszły od lat niewielu na tych górach i w tych dolinach.

Pięćdziesięcioletnia matrona, pełna jeszcze sił żywotnych, pokryta nieprzebraną ilością zielonych igieł, szumi smętnie skargę wnucze swojej wiotkiej sosence, która ciekawie ucho nadstawia.

— Bywało tu inaczej — szemrze posępnie — cisza była i spokój, — sę czasem przeleciał nad nami, góral oparł głowę o pień nasz i spoczął strudzony. A teraz, patrz asanna! Jakież dziwolagi poprzebierane co rok to inaczej, co rok to dziwniej snują się tu już od wczesnego ranka.

A trzepie się to wszystko, a hałasuje, a rozbija — nie wiadomo: czy tego żałować, czy tem pogardzać?

— Ot na tamtych górach było nas wszędzie pełno. Jedna koło drugiej, rosłyśmy sobie, nie zawadzając nikomu. Przyszli ludzie, wyrabiali całe szeregi, tam aleje, owdzie placyk. Stawiają też jakieś budy, tu altankę tam kiosk — a słyszałam, że tam na ich płaszczyznach dosyć miejsca na aleje, placyki i budy. Czemu nas wycinać?

Młoda sosenka słucha i przytakuje zielonemi gałązkami, ale tylko machinalnie, bo trochę ciekawa co się koło niej dzieje, tego ruchu, tej hałasy, co rok dziwniej poprzebieranej, kiedy ona zawsze w jedną tylko sukienkę zieloną się stroi. Ot i teraz. Kto to tam idzie pod górę? Jakaś osóbką cała w bieli, — parasolik niebieski, rzuca blade światło na jej świeżą twarzyczkę. Idzie i niesie pudełko, — za nią mały chłopczyk dźwiga stalugi i pakiet zwinięty w trąbkę.

Osóbką w bieli rozgląda się dokoła i szuka najbardziej malowniczego drzewa na studyum. Sosna-babcia, mówi do wnuczki, wiotkiej sosenki:

— Widzisz? będzie nas malować. Co tym kruszynom w głowie? — takie to małe a tak o niczem nie wątpi. Chciałoby się temu Pana Boga

poprawiać i smaruje nam podobizny na płatkach albo na papierkach. Raz mnie jeden ślicznie wymalował! myślałam, że sobie drwi ze mnie, bo byłam więcej podobna do tej tam paproci, niż do sosny. Ale jemu się to bardzo podobało i rzekł na zakończenie: — Sosny tak powinny wyglądać.

A młoda sosenka odparła: — Patrz, babciu, jeszcze się tu jedno dźwiga na górę, ale z trudnością.

Rzeczywiście, sapiąc i dysząc, i przystając co kilka minut, „dźwigała się“ do góry postać nieco skurczona, nieco zgarbiona, ale gdy się już dostała na polankę Michasiowej, żwawszym krokiem posunęła się naprzód wprost tam, gdzie osóbką w bieli stalugi i składane krzeselko umieszcila.

— Ty tak pędzisz, Myszko, że cię nigdy dogonić nie mogę.

— Czemu mnie babcia goni? przecież nie jestem dzieckiem, nie trzeba mnie pilnować, — cóż w tem złego, że sama zostanę?

— Nic złego, kochanko. Ale, widzisz, mnie bez ciebie smutno. Starzeje się człowiek, czy się ty gniewasz, że tak za tobą chodzę?

— Broń Boże, babciuniu! — zawołała wnuczka rzucając się babci na szyję, — przecież i mnie bez ciebie smutno. Tylko nie chcę, byś się zamęczała, galopując tak za mną dzień cały.

— Już nie! już odpoczęłam, — odparła babcia siadając na ziemi, na rozłożonym pledzie. — Ale nie zgadłabyś co mnie zatrzymało tam na skrajcie! Myślałam, że skamienieję! — no, zgadnij! myślałam, że mnie apopleksja zabije. Zgadnij tylko! Wszystka krew uderzyła mi do głowy. A to historia!

— Moja babciu? Cóż takiego? Może upiór jak, tak mnie babcia przestrasza....

— Zgadnij, proszę cię, zgadnij!

— Kogo babcia spotkała? Czy ja wiem! może hippopotama, albo Kubę-rozpruwacza? — Nie wiem, jak babcię kocham!

— Wyobraź sobie! myślałam, że padnę, tak mi się nogi zatrzęsły. — Idę sobie najspokojniej w świecie, oglądając się za tobą, bo wiedziałam, że się tu raz wybierasz. Otóż wypilałam już trzeci kubek — i tak sobie szłam, mówię ci, duszko, najspokojniej.

— No, dobrze, babciu, ale kogo babcia spotkała?

— Ot tam, — o dziesięć minut od Michasiowej, — na skrajcie — tam gdzie ta ławeczka kulała, co to raz o mało z niej nie spadłam.

— I kto tam był?

— Na ławeczce? Nie, nikogo nie było, tylko o kilka kroków, właśnie kiedy ja miałam usiąść, żeby trochę odpocząć i usiadłam potem, bo mnie nogi unieść nie chciały, ażem ścierpła, takem się nie spodziewała.

— No, ale kóż to był? moja babciu? Umieram z ciekawości!

— Kiedyś ty taka uparta: nie chcesz zgadnąć! No, no, już się nie gniewaj, duszko. Już ci powiem. Ten — ten — ten trzpiot, — ten obieżyświat, ten zdrajca, pamiętasz?

— Nie, babciuniu. Proszę powiedzieć nareszcie.

— Ten Tomcio, ten pędziwiatr! ten bisurman!

Osóbką w bieli upuściła pędzel, zeskokczyła z krzesła, krzesło się przewróciło, potracając stalugi, — stalugi się przewróciły, — a tam w górze stara sosna zaszumiała do młodej:

— Patrz, wnuczko, — dobrze jej tak, pewnie ją gad jak i uszczypnął, — jak się zerwał! — Malować mój portret! Widział kto takie pretensje!

Młoda wnuczka odszumiała: — Babciuniu, jeszcze tu ktoś idzie, proszę patrzeć. Babka spojrziała i szepnęła ponuro:

— Niedługo napakuje ich się tu tyle, że wszystkie kwiaty podepcą, wszystkie paprocie pozrywają. Byle niszczyć, byle się znęcać nad czymś, co się bronić nie może.

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

CX.

Ubogie lwice (Les lionnes pauvres), sztuka w 5-ciu aktach, E. Augier i Edm. Fournier, z francuskiego tłómaczona — poraz pierwszy w Teatrze Letnim d. 10-go Września.

P. Rakiewiczowa nie spodziewała się, że przekład jej odleży się całe dziesiątki lat, zanim sama w przełożonej przez siebie sztuce wystąpić będzie mogła. Józef Kenig, znający wybornie przeszłość teatru warszawskiego, twierdzi, że *Ubogie lwice* oddane były do wystawienia jeszcze za życia Ciemskiej, a Ciemska zmarła okrągłe już temu lat trzydzieści. Obecny reżyser sceny dramatycznej p. Szymanowski musiał dużo takiej pleśni zastać w bibliotece; dał z niej już *Struja Sama*, daje teraz sztukę Augiera. Fleśń pleśnią, a talent talentem. Nie myślę też ganić takiego wystawiania sztuk już starych, ale dobrych, przytem w Europie już całej znanych. Co innego byłoby, gdyby starano się o nie umyślnie dopiero teraz; ale gdy się zastało już rzeczy gotowe — dlaczego z nich nie korzystać?

Ubogie lwice są właściwie „Ubogą lwicą“ — bo jeden tylko, jedyny okaz tego gatunku postawił nam autor przed oczy. Jest nim Serafina Pommeau, z powodu względnego ubóstwa męża, ubierająca się za pieniądze nie-męża. Pommeau był już niemłodym, miał pod pięćdziesiątkę, kiedy się żenił. Człowiek uczciwy, pracowity, dependent u notaryusza, mógł być poszukać partyj z posagiem; on wolał jednak pójść tam, dokąd go serce ciągnęło. Serafina była córką wdowy, której spryt w interesach majątkowych uwięził się niedostatkiem, a lekkie życie przeszło dziedzicznie na córkę. Pommeau, żeniąc się z Serafiną, wydobywał ją z ubóstwa. Pierwsze chwile przemieniły w szczęście; później dopiero zaczęła się pani nudzić a po nudach — stroić i bawić. Mąż, zajęty nawet w niedzielę ciężką pracą zarobkową, nie mógł mieć oczu otwartych na wszystko, co się działo w jego domu; nie postawił też sobie nigdy tak prostej kwestyi: żkąd żona bierze pieniądze na te stroje, zwracające na nią powszechną uwagę? Żkąd? Od p. Lecarnier, męża pupilli p. Pommeau, Teresy, — młodego adwokata, który tym sposobem, zdradzając żonę, zdradza jeszcze i jej i swego własnego dobroczyńcę; przywiązany bowiem do swej wychowawicy, jak do rodzonej córki, dependent, nietylko uzbierał był dla niej z małego *peculium* ojcowskiego przyzwoity mająteczek, ale ożenił ją a mężowi jej znajomościami i wpływami swemi torował ciężką zawsze na początek drogę praktyki obrończej. W sztuce ma już p. Leon Lecarnier trzydzieści tysięcy franków rocznego dochodu; ale ma już pomimo tak pięknego dochodu kłopoty, pożyczka od znajomych, nie płaci rachunków, nie ma pieniędzy na najpilniejsze, najdroższe żądania, daje na dom coraz skąpszą ręką, eheciwie nawet gra w bakarata, aby wygrać to, czego koniecznie potrzebuje: widocznie jest w interesach. Nic dziwnego: wszak miał już czas poznać się z panią Pommeau, która na scenie w oczach widzów kupuje sobie koronkę za 2.000 franków.

Lichy człowiek będący już od kilku lat ojcem, wie doskonale, jak niegodziwego czynu dopuszcza się względem najlepszej z kobiet, szlachetnej a szczerze kochającej go Teresy; jak nikczemnie odpłaca się mężowi wietrznicy za otrzymaną od niego pomoc, wtedy, kiedy jako biedny aplikant stawiał pierwsze kroki w swym zawodzie. Lichotę jego zwiększa jeszcze to, że sam czuje, iż nie kocha Serafiny: zabrnął tylko i brnie dalej. Kapelusze dostrzeżony zrazu tylko na rachunku podanym Leonowi, a potem już i na głowie strojnej damy, daje pierwszy błysk prawdy krzywdzonej żonie. Teką zostawiona w powozie a poszukiwana w roztargnieniu przez męża, w związku z tym kapeluszem, daje już pewność. Szlachetny

charakter tłumi w sobie boleść, nie pozwala wybuchnąć sercu, aby wybuch nie rozdarł piersi ukochanego opiekuna, — tak nieszczęśliwego — tak srogo karanego za ożenienie się w późniejszym wieku z kobietą piękną. Na balu u pani Henryetty Hulin nie może wprowadzić Teresa powstrzymać się od wyrzucenia „przyjaciółce“ swej w żywe oczy, że ją zdradza; zemsta jednak osobista nie jest tu główną pobudką — nad prawem własnem panuje troska o Pommeau, aby się nie dowiedział prawdy. Ale prawda sama do niego przyjdzie. Czeka ją na Serafinę modniarka Charlot z obligeem na dziesięć tysięcy franków, płatym natychmiast, pociesza pocziwego człowieka, że dobrze jeszcze jeśli to mąż, a nie kto inny, płaci długi żony. Pommeau już wie, że ma żonę nieuczciwą, ale nie zna jeszcze jej współnika. Dług płaci, dając przekaz na swego pryncypała, a z żoną, wracającą właśnie z lombardu, rozprawia się ostatecznie. To, co usłyszała teraz od niego, wystarcza na określenie dalszych dróg jej życia; to — co jemu powiedziała, określa wybornie jej drogi dotychczasowe. Była to zawsze jedna z tych istot, które tylko zabłąkują się pomiędzy ludźmi, ale rzeczywście przeznaczone są na życie zwierzęce wśród zwierząt. Czujemy istnego potwora, gdy po przelotnej skrusze, wywołanej przez trwogę, Serafina, nieodtrącona przez męża, skazana tylko na ubóstwo — bo wszystek grosz zaoszczędzony i przyszyte swe dochody mąż przeznaczą na okup hańby — zaczyna się cofać, drży przed biedą i wskakując z ławy oskarżonych nagle na trybunał sądu, woła: „Ubogi nie powinien się żenić“ Pommeau zostawia ją w mieszkaniu wspólnem — podwójnie nieszczęśliwy, bo nie wie, komu ma rzucić w twarz pieniędzy z takim trudem zebrany, a w sercu czuje ciągle jeszcze niewygasłe uczucie. Już mu blada twarz samobójstwa świtała nad Sekwaną, ale gdy poczuł pieniądze na piersiach, żądza zemsty powróciła go życiu. Przytuli go córka przybrana — zachodzi więc do Lecarnierów pomiędzy którymi rozegrał się już był dramat pogwałconego prawa. Po bolesnych zwierzeniach, gdy myśl: „Ale kto on — kto on?“ szarpać go nie przestaje, nagle spojrzenie na Leona odsłania mu prawdę: to on! Porywa się i ciska pieniądze. Leon chce się zabić, ale żona go zatrzymuje: sam tylko Pommeau będzie tutaj ofiarą. Nim opuści dom swej wychowawicy, myśli jeszcze o żonie, przeznaczając dla niej pieniądze zebrane, błaga nawet takiej czystej, kryształowej istoty, jak Teresa o czuwanie choćby zdala nad nędzną. Od tego miłość, żeby była, choćby jej dawno już być nie powinno. Wyjście biednego Pommeau zakończy sztukę. Może się zabije a może żyć będzie — w każdym razie już tylko cierpiącym upiorem być może.

Te dwa piękne dodatnie charaktery Teresy i Pommeau nadają najwięcej miąższu sztuce jako całokształtowi stosunków psychologicznych, dramatyzowanych na scenie. Wobec nich sama uboga lwica traci wypukłość potrzebną i gdyby nie owa rozmowa w akcie IV-ym nie czuliśmy nawet wcale jej indywidualności wyosobnionej, a żywej, bo owa Serafina, poświęcająca tyle czasu kłopotom o strój wspólny z modniarką i pokojówką swoją, jeżeli pominiemy drobne słówko aktu III-go do Leona: „Nie masz pieniędzy — więc mnie nie kochasz“ — jest raczej formą pojęciową, wypełnioną ruchami i odruchami namietności strojnisowości, aniżeli palającą życiem indywidualnem istotą. Cały ten temat „lwice ubogie“ występuje w dramacie Augiera w charakterze apologu, postawionego dla przykładu, a nie w samych zjawiskach życia, rozwijających się własną siłą z danych dusz ludzkich, w danem ich otoczeniu i warunkach. Autor nie pokazał nam wcale Leona z Serafiną, nie dotknął wcale tego, co się w ich stosunku nazywało miłością. On przez całą sztukę, a ona aż do rozmowy z mężem — jest tylko figurą dobraną do bajki, pod którą ukrywa się prawda moralna.

Rzeczywistym bohaterem dramatu rozwijającego się przyczynowo z grzesznego strojnisiewstwa jest Pommeau — *ubogi człowiek*, który „nie powinien się być żenić“ — jak mu rąbnęła Serafina na pożegnanie. Nie taki był zamiar Augiera, ale taki jest ostatecznie skutek jego zamiaru. Temat

List z Anglii.

D. 2-go Września.

ubogich lwie słabo występuje, i w samej Serafinie, i w charakterystyce tych pań, wygłaszanej przez sceptyka, rezonera i merkurego sztuki, Fryderyk Bordognon. Na czasy Drugiego Cesarstwa było to już słabe; w naszych sprawach archaistyczne wrażenie. Słuchamy tego jak komunalów. Przez lat trzydzieści „lwica“ jako pojęcie rozwinęła się, wyróżniczkowała, spotęgowała. Po historii Rougon-Maquartów — te, o których mówi Fryderyk do Leona w akcie II, wyglądają jak drobne niewinne myszki. W budowie sztuki czuć zbyteczność aktu III, który nie nowego żadnej z osób dramatu, ani do wrażliwości, ani do samowiedzy nie wnosi. Pomysł gry w tym akcie ma znaczenie czysto-techniczne, jest zabawką mającą zapęlić tylko czas i miejsce. Punkt ciężkości dramatyzmu pada na nieszczęście i boleść męża Pommeau i jego wychowawcy Teresy. W nieszczęściu i boleści wspólnej oba charakterzy wysoce dodatnie, czyste, przejawiają się z artystyczną szczerością, a Teresa jest wspaniałym uosobieniem czystego uczucia człowieczego, oderwanego już od nerwów — uczucia przywiązania prawie dziecięcego i wdzięczności. Dla tych dwóch charakterów i wszystkiego, co się z nich wysnuwa, warto poznać, warto zobaczyć staronową sztukę Augiera. Pod względem kunsztu prześliczną jest prostota środka obranego w akcie II do wywołania ruchu w duszach.

Gry nie nazwę wzorową. Dla panny Czaki rola Serafiny jest najzupełniej nie stosowną. Artystka nie ma fizioznomii; nie na jej twarzy nie faluje. Przyzwycająca grać na jednej tylko strunie, naiwnej lub brawurowej miłości z lekkimi przeszkodami, tonów uczucia, głębszych, bogatszych wydobyć z siebie nie zdola. Panna Czaki może i sama widzi, że gra niedobrze, może nawet od razu nieodpowiedniość swoją dostrzegła: teraz przecież, gdy panna Marcello i pani Lude są na urlopie — zawsze Serafinę grać-by musiała. Wątpię, czy studia dalsze cośkolwiek naprawią, zresztą publiczność może nie dać potrzebnego na nie czasu — nie z winy samego tylko Augiera, zaiste, i 1858-go roku, w którym sztuka była napisana. Dwie główne role: Teresa (p. Barszczewska) i Pommeau (p. Leszczyński) nie stoją również na wysokości tych wymagań, jakie im stawiał autor, kiedy je tworzył. P. Barszczewska grała akt II na próbie o wiele lepiej, niż na pierwszym przedstawieniu. Słyszałem głosy, że wogóle indywidualność jej sceniczna nie znosi ról głębszych, poważniejszych, a jak tu, tragicznie, nastrojonych. Nie myślę stawiać tezy głębokości lub powagi, powtórzę tylko, że na próbie p. Barszczewska, grając o wiele lepiej grała prawie zupełnie dobrze, a momentami pojedynczemi przekonawała nawet niedowiarków. P. Leszczyński grał jakby z rozmyślnem zaniedbaniem, które dla artysty musiało być równoznaczne z naturalnością, ale dla słuchacza i widza było niedokrewnością artyzmu — niedostatecznym jeszcze wystudyowaniem, niewystarczającym pojęciem charakteru, brakiem lub niewłaściwym nakierowaniem odpowiednich czynników, które przy wytwarzaniu roli współdziałać były powinny. Tylko w samem zakończeniu, kiedy ból już przeżera nieszczęśliwego człowieka na śmierć, kiedy energia życia już za życia z niego występuje, kiedy świat ma dla niego wartość krainy strasznej, którą szczęśliwie przebył, — w grze p. Leszczyńskiego czuć było i prawdę i siłę i głęboką indywidualnego charakteru.

Przy takim wykonaniu trzech ról najważniejszych, największych, to, co mógł dać p. Ładnowski w swoim Fryderyku Bordognon, a pani Rakiewiczowa w jego siostrze, pani Hulin, nie podniosła artystycznego poziomu nowości. Na pochwałę zasługują w charakterystycznej roli modniarki p. Borkowska; z przyjemnością też patrzyło się na p. Nowickiego (Leon Lecarnier), zaczynającego nabierać — *sit venia verbo* — elastyczności i ciepła. Są to dopiero dobre początki i jakże od nich daleko jeszcze do celu!

Stanisław Krzemiński.

Parlament zakończył prace swoje, posłowie rozjechali się; jedni, to jest stronnicy upadłego gabinetu Salisburego, skwaszeni i w złym humorze, drudzy, stojący przy starym lwie, Gladstonie, wesoło pożegnali rozpalone mury Londynu. Jak dotychczas, czynią tu nowemu gabinetowi jeden tylko zarzut: że posiada za mało — dam!.. Małżonka Gladstona to staruszka już sędziwa; minister spraw zagranicznych i minister spraw wewnętrznych wdowcami są, tak, jak i namiestnik Irlandyi: tylko więc małżonka ministra kolonii, lady Ripon i pierwszego lorda admir., lady Spencer, muszą wziąć na siebie salonową reprezentację rządu, na którego czele stałyby dawnego ministeryum cztery wielce dostojne i wysokiego tonu damy: lady Salisbury, lady Codogan, lady Londonderry i lady Zetland. Naród angielski jest z natury swojej poważnym, nikt też posadzić go nie może, aby było potrzeba zyskiwać tu sobie ludzi „czapką i papką“, ale życie towarzyskie zbliża ich do siebie i ułatwia stosunki; dla tego też domy wielkich urzędników korony są zawsze otwarte. Obok tego Anglicy spostrzegli, że ich purytańskie święcenie Niedzieli, z dodatkiem jedynie pierwszego dnia Bożego Narodzenia, źle oddziaływa na usposobienie ludu, niemającego, jak w krajach innych, tych błysków wesołości, tych chwil ożywionego świętowania, które gdzieindziej wprowadzają w życie klas pracujących coś użycia, coś jaśniejszych blasków istnienia. Sir John Lubbock umiał stan taki zrozumieć, przeprowadził też w Izbie Gmin, już temu przeszło lat dziesięć, ustawę, mocą której przybyły ludowi angielskiemu cztery dni świąt w roku.

Są to cztery Poniedziałki: pierwszy po święcie Bożego Narodzenia, Wielkiejnocy, Zielonych Świątek i pierwszy w Sierpniu, a te święta Lubbocka, jak je tu zowią, są bardzo ożywione i w taki ruch wesoły wprowadzają tłumy ludowe, że kronika kończącego się miesiąca zapisała to sobie w rubryce szczęśliwych zdarzeń, iż w bieżącym roku raz pierwszy, jak święta Lubbocka istnieją, nie było żadnego smutnego wypadku na kolejach, ani w teatrach, lub ogródkach podmiejskich, gdzie John Bull bawi się z rodzinami swemi; a dodać tu trzeba, że miejsce zabawy ma on podostatkiem, bo surowość świętowania niedzielnego coraz w Anglii słabnie. W Manchester czytelnia ludowa, licząca 2.000 tomów, wypożyczonych 1.560.000 razy w ciągu ostatniego roku, to jest mająca ruch o wiele większy, niż najliczniejsza na świecie biblioteka British Museum, zgromadza co Niedziela około 6.000 czytelników, głównie z klas robotniczych, którzy, gdyby nie mieli tej miłej i pożytecznej zabawy, wkradaliby się tylnymi drzwiami do szynków, lub dążyli do tych niby garnkułn, które dlatego, aby mogły być otwarte w Niedzielę, maskę jadalni ludowych na siebie biorą.

Ale wracając do przedmiotu, dopisać mi należy, że czterdzieści miast angielskich posiada biblioteki liczące 100.000 tomów, wypożyczanych rocznie 800.000 razy. Pierwsza tego rodzaju biblioteka publiczna z wypożyczalnią książek powstała w wieku przeszłym w Londynie, a stało się to z inicjatywy i za staraniem niejakiego Waltera Ramsey — perukarza. Pierwszy głos, który z kolei podniósł się w parlamencie angielskim za sprawą czytelnii ludowych, odezwał się w 1849 r. William Ewart, postawił wówczas wniosek utworzenia komisji, któraby czuwała nad czytelniami ludu angielskiego, któraby czytelnie te wznosiła. Silna opozycja wystąpiła przeciwko wnioskowi, który utrzymał się przecież, jakkolwiek bardzo małą większością głosów. W 1883 r. Anglia posiadała sto takich instytucji, z których wspomniana wyżej biblioteka w Manchester pod kierunkiem Alfreda Lutton rozwija działalność najszybszą. Po

Anglii Ameryka zajmuje pierwsze miejsce w dziele organizacji czytelnii. Pierwsza z nich powstała w Bostonie; kupiec korzenny Vates dał w 1848 na jej wzniesienie 50.000 dolarów, a za dobrym przykładem poszli i inni; składki większe, mniejsze nie ustawały, aż zbudowano gmach kosztem 360.000 dolarów, a w 1882 r. mieściło się w nim 400.000 tomów dzieł różnej treści, obok 300.000 broszur. Wydawano dziennie od 4.000 do 10.000 książek, i w przeciągu roku publiczność bostońska przeczytała milion książek i półmilion pism peryodycznych. Budżet wynosił też 120.000 dolarów, obsługa zajmowała 140 osób, a dodać należy, iż pełniły ją przeważnie kobiety, wywiązujące się bardzo dobrze ze swego zadania, które też ze wszelkich względów przypada na dział pracy kobiecej, a do tej pracy garną się już i Angielki. W największej z bibliotek Wielkiej Brytanii, mieszczącej się w starożytnym zamku Althorp, a obejmującej około 50.000 tomów, obsługa cała jest w ręku kobiet, wprowadzając pod kierunkiem bibliotekarza, Elgina Gordon. Właścicielem tego ogromnego księgozbioru był lord Spencer, ale go już sprzedał do Manchesteru na bibliotekę publiczną. Zaczyna nabywczynią i zarazem fundatorką jest wdowa po bogatym bawełniarzu, pani Rylands. Lord Spencer dostał za swój zbiór szacowny przeszło 200.000 f. st., a mieści on rzeczy bardzo cenne. Jest tam pierwsze wydanie dzieł Danta, antologia florencka Homera z 1494 r., psalterz i biblia z 1457 r., drukowane: pierwszy przez Mentza, druga przez Gutenberga i Fusta.

Skoro zaważyłem piórem o książki, należy mi wspomnieć o nowym dramacie Tennysona na tle romantyzmu dziejów legendowego rozbójnika angielskiego: „Robin Hood and Maid Maryan“. Powodzenie jest wielkie, bo trzeba przyznać ojczyźnie Byrona, że ta czarodziejka, która się zowie poezją, ma tam wielką moc nad ludźmi, nad kobietami zwłaszcza, i czy nie poetyczności Angielek jest to sprawą, że nie przrastają tak one do ziemi, nie czynią się takimi gospodyniami, jak Niemka, której światem jest kuchnia i spiżarnia, nie bawią się tak w galanki, w kokieterię, jak Francuzka? Wykształcone, rozumiejące „co duch czasu kryje w głębi“, umieją być dobrimi matkami rodzin, dobrimi towarzyszkami życia mężów, a obok tego Anglia liczy może największą w Europie ilość kobiet uczonych, kobiet literatek. Oto jedna z pomiędzy nich, Mrs Humphry Ward, otrzymała 20.000 funtów sterlingów za jedną z powieści swoich: „Losy Dawida Grieve“, której dziełko wydanie wyszło właśnie w tym roku. Każde z tych wydań przynosiło jej ogromne, jak na utwór powieściowy, honorarium, aż zebrała się razem summa zdająca się bajeczną w zakresie literatury powieściowej. Jak Angielka umie pojmować życie, jak ceni to, co w życiu tem jest szerszem piersi oddechem, daje nam świadectwo jedna z literackich prac kobiety o kobiecie, siostry o siostrze. Wyszła tu niedawno zpod prasy drukarskiej książka: „Wspomnienie szczęśliwego życia“ przez I. A. Symonds, a są to prawdziwe dzieje kobiety, skreślone ręką jej siostry na podstawie listów i dziennika panny Maryi North, córki rodziny zamożnej, urodzonej w 1844 r., a zmarłej dwa lata temu. Na mocy czego siostra nazwała życie jej szczęśliwym? — może być dla jednego czytelnika zagadką.

Posiadała wprawdzie majątek, była bardzo piękną, miała talent do muzyki i głos do śpiewu taki, że mógłby być stanowić fortunę, gdyby potrzebowała zarabiać na życie; przecież pozostała w życiu samotną, więc życiu temu brakowało tego właśnie, co w istnieniu kobiety jest szczęściem podstawą. Czy serce jej nie uderzyło nigdy tem uczuciem słodkiem a gorącym, które się zowie miłością? — czy raczej nikt jej nie pokochał, nie wyciągnął do niej ręki, aby razem szli przez życie? Przy jej urodzie, majątku i położeniu towarzyskiem rzecz taka jest niemożliwą i musiała tu być niewątpliwie jakaś smutna historia, czy zawodu, czy jakiegos bolesnego wypadku miłości, nie mogąc się uwiechrzyć szczęśliwą przyszłością wiernego jej trwania „aż do śmierci“. Siostra przecież nazwała to życie szczęśliwym, czy nie dlatego może, iż była w tej piersi kobiecej wielka siła woli

i rozumu, i nie dała jej upaść pod zawodem, uczyniła ją silną przez moc ducha. Miała rok dwudziesty, gdy nagle straciła głos swój pyszny; zaraz wkrótce umarł ojciec, i ona uczuła naraz taką potrzebę zmiany miejsca, ruchu, że lat dziewiętnaście wędrowała po świecie, zwiedziła wszystkie jego części—zbierając dla ogrodu botanicznego w Kew najrzadsze, nieposiadane przez Europę rośliny. Od czasu do czasu wracała do Anglii ze zbiorami swemi, sporządzała katalogi drzew, kwiatów, roślin zaaklimatyzowanych w Kew, aby znowu puścić się gdzieś dalej, w strony nieznane jej jeszcze. Zasługi jej w tym kierunku były tak niepospolite, że na wniosek rządowy, a dodać można, na wniosek królowej Wiktorii, otrzymała publiczne podziękowanie parlamentu.

Książka, która została pamiątką jej istnienia na ziemi, pisana jest, nietylko z wielkim wdziękiem i prostotą, ale często poetycznie, tak przy opisach wspaniałej przyrody podzwrotnikowej, jak i zacisznych, sielskich ustroni. Siostra miała też rację, miała słusność nazwać jej życie szczęśliwem, bo zmarła umiała odczuwać piękno, umiała wprowadzić w samotne istnienie swoje, obok pracy użytecznej, żywioł poezji, rzucającej odblask jasny na ciemne strony jej losu.

Umarł tu niedawno, bo tego lata w Lipcu, podróżnik, interesujący nas z innego jeszcze względu, niż ten, który się wiąże ze wspomnieniem ludzi, chodzących innemi drogami, niż ubite ścieżki powszedniego istnienia, bo ziomek nasz przez krew z krwi, kość z kości naszej, Michał Twardowski, członek misji katolickich w Indyach angielskich. Urodzony w 1850 r., młodym bardzo chłopcem znalazł się we Francji, i w 1870 r. wstąpił do seminarium w Montauban, otrzymał z czasem święcenia kapłańskie i zajął się ofiarniczo nauczaniem ubogich chłopców; ale była to dusza pełna entuzjazmu, w piersi młodej tkwił zarodek ofiarniczego poświęcenia, i po dwuletnich studiach lingwistycznych puścił się kapłan do Indyi, a ukochawszy sercem całym krajowców, oddał się im cały, oświecając, nauczając, podnosząc. Gdy w roku zeszłym cholera ukazała się w Indyach, on już zmęczony bardzo, upadający na siłach pod gorącym klimatem stron tamtych, z zapalem poświęcenia pośpieszył ratować biednych, pomocy lekarskiej pozbawionych ludzi; zmęczył się też śmiertelnie, a gdy brak sił zmusił go do porzucenia szlachetnej pracy i kazał mu udać się w okolice góryste dla pokrzepienia wyczerpanego organizmu, już to nie nie pomogło. Umarł, oddając jednemu z ziomeków, który przy nim czuwał, woreczek z ziemią dlań świętą, który nosił zawsze na piersiach.

Majątek niewielki, jaki posiadał, zapisał na tych nieszczęśliwych wieśniaków naszych, zwabianych przez nieuczciwych agentów do wychodzenia z kraju, którzy, w drodze do Brazylii lub Stanów Zjednoczonych, dla braku środków zostają skazani na nędzę wszelkiego rodzaju. Zapis Twardowskiego uczyniony został szczególnie na tych biedaków, którzy tulają się po ulicach Londynu. Pracę znaleźć nie jest tam łatwo, a wtedy nawet, gdy zdołają ją zdobyć, nieświadomość stosunków oddaje ich na łup ludzi mało sumiennych i dzieją się tu nadużycia takie, że prasa angielska ujęła się za nieszczęśliwymi. Chelmiński zajął się też wtedy niemi a ten może ich objaśnić lepiej niż kto inny, co Ameryka dzisiejsza może przedstawić szukającym tam chleba przybyszom, bo sam bawił tam lat trzy. Obecnie mieszka on już od lat trzech w Londynie; wystawa obrazów jego, urządzona w Lutym zeszłego roku w Continental Gallery, dała go poznać szerszej publiczności tutejszej a sportsmeni angielskie zachwycają się jego kołmi, które stanowią poniekąd specjalność tego artysty. Z obrazów jego szczególnie chwalonym jest jeden, wielkich rozmiarów, z czasów kampanii dwunastego roku, przedstawiający Francuzów uciekających i gonionych przez kawalerię po śniegach zasłanych polach. Obraz drugi zatytułowany „Rok 1812“ ma tło podobne: Napoleon, uchodzący z Moskwy, siedzi w sankach z jednym tylko adjutantem; słońce zachodzące krwawo po za nim, zdaje się symbolizować ostatni moment wielkiej

tragedii jego losu. Dwa te obrazy, o których w swoim czasie pisały dużo dzienniki wasze, ścigały tu do siebie sędziwych weteranów armii angielskiej, a między innymi oglądał je dwukrotnie bardzo już sędziwy, bo najstarszy admirał floty angielskiej, sięgający pamięcią czasów, które tu odtworzone były, sir Prove Walis, który w 1804 roku wstąpił jako kadet do marynarki angielskiej. Stał on przed tym obrazem wzruszony i wieść niesie, że Chelmiński zdjął wtedy z niego szkic portretowy i może dostarczy mu to przedmiotu do zajmującego utworu, zwłaszcza, że sir Walis zmarł we dwa dni potem w nocy. Umarł tak cicho, że nikt nie wiedział o tem: „duchy go otoczyły i pozostał z niemi.“

Pogrzeb jego odbył się bardzo uroczysto. Książę Walii z synami postępował za trumną, co przecież nie przejednalo wielkiego niezadowolenia marynarki angielskiej z powodu sprzedaży przez rząd, a raczej przez zarząd marynarki, starego, może najstarszego w Europie okrętu wojennego, na którym w 1793 roku Nelson walczył pod Neapoliem z Francuzami. Statek ten niósł wtedy na pokładzie swoim 180 armat; ma on też 50 stóp obszaru, 21 stóp głębokości, a sprzedany został za 80.000 marek jakiemuś przedsiębiorcy ze Szczecina, który go podreparuje i czas jakiś służyć mu każe do nadbrzeżnej żeglugi przewozowej. Dzienniki angielskie rozpięły się szeroko na temat *sic transit gloria!* przecież marynarka angielska postanowiła urządzić składkę dla odkupienia pamiątki historycznej. Słuszność jest niewątpliwie po stronie malkotentów, bo nie myli się poeta, wołając na ludzi, że „godzi się cześć świętości swoje...“

Pamięć Dickensa została tu uczczoną w świeżo wydanym dziele, poświęconem wspomnieniom tego znakomitego i do literatury powszechnej należącego już powieściopisarza. Wiliam Hoghes, wielki wielbiciel jego utworów, zapragnął poznać miejsce jego urodzenia, miejsce gdzie mu upływały lata młodzieńcze, a to ze względu na wrażenia odbierane przezeń, na wpływy otaczającej go przyrody i układ życia mieszkańców, między którymi znalazł jeszcze niektórych znających go i pamiętających różne charakterystyczne rysy jego młodości. W naszej literaturze porównać z nim można, tak co do wpływu na czytelnika, jak i rodzaju talentu, Kraszewskiego jedynie. Obaj, pisząc prozę, byli poetami, obaj panowali przez lata długie nad wielu tysiącami sere i umysłów, ztąd może tak silnie, że obaj byli wkroś swojscy i wskroś oryginalni. Książka angielskiego autora nosi tytuł „A Weeks Tramp in Dickens Land“ (Tydzień pobytu w krainie Dickensa) i ozdobiona jest licznymi ilustracjami krajobrazów i miejsc pamiątkowych, wykonanymi przez najpierwszych rysowników angielskich.

Na zakończenie doniosę wam nowinę dobrą. Stara Anglia zdobyła się na wielki czyn filantropii społecznej. Od dnia 1-go Września została tu wprowadzona bezpłatna nauka szkolna i zaraz też w dniu tym poznano owoce tego dzieła, bo przybyło szkołom 30.000 uczniów. Trzeba przecież dodać, że w pewnych sferach skrzywiono się na to, bo naturalnie przyjdzie teraz z konieczności zmieszanie się dzieci z klas różnych, i chłopak ubogi może się obok przyszłego baroneta, może go prześcignąć i otrzymać wyższe honory szkolne, niż panicz jasnie wielmożny. Ale ile oświeconych wyżej ludzi przybędzie starej Anglii?

Ogłoszony świeżo w Londynie wykaz statystyczny podał liczbę ludności państwa Wielkiej Brytanii, nie licząc jej posiadłości afrykańskich, na 350 milionów.

Henryk.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

DWA NAJNOWSZE UTWORY

ORZESZKOWEJ.

(Dokończenie).

Powieść przenosi nas daleko od Rzymu, otwiera nam całkiem inny widnokrąg. Tam silne życie indywidualne; tutaj łagodne, choć również smutkiem a nawet rozpaczą zaprawione, życie rodzajowe—to, którem żyje rodzaj ludzki na ziemi. Tam samowiedza szarpana myślami o świecie; tutaj bezwiedność, myśląca tylko o sobie, o swoich własnych przyjemnościach, zadowoleniach, bólach, odczuwająca tylko siebie i to, co dla siebie w krąg bytu swego wprowadzić pragnie: małe radości i małe smutki—życie najpowszechniejsze i najpowszedniejsze zarazem. Głównym, pod indywidualnościami utajonym, działaczem w takich utworach rodzajowych jest zawsze ogół, zbiorowość, wspólny obyczaj—rodzaj. W powieści Orzeszkowej sfera, do której należą osoby działające, przejawia się z dokładnością, jaką dać mogą tylko spostrzeżenia prowadzone metodą naturalistyczną. Wyborna znajomość przedmiotu badania przebiega się w każdym pomysłu, w każdym nowym rysie kompozycji i samej plastyki unaoeczniającej pomysły. Patrzymy w to życie zbiorowe, w te wnętrza dworaków i sere z takim zadowoleniem artystycznym, że zamieniać się ono zaczyna w sytość umysłową wiedzy. Jest to nietylko powieść—malowidło czy rzeźba, ukazująca pewną gromadę istot żywych w pewnych ruchach i grupach, a w danym światłocieniu. Nie, to jest opis całego środowiska, w którym, jak w gnieździe, wychowały się jednostki. A z jakim to wszystko przewiazaniem, życzliwością, z jakim ognieniem serdecznym i wdziękiem podane! Ci „dobrze urodzeni“—choć w swej pysze głuptasie, chwytają za serce. Tak miło na nich patrzeć, tak miło być z nimi w powieści, że gdy już zbliża się ostatnia jej karta, czytelnik nie rad się z nimi rozstaje.

Przedmiotem powieści jest miłość. Wykwita ona z dwóch sere: Salusi Osipowiczówny z Tołłoczek i Amelki Kuleszanki z Laskowa. Oba kwiaty zwracają się ku jednemu słońcu, a jest nim p. Jerzy Chutka. Prawa Salusi są dawniejsze i lepsze. Poznali się w pożarze w miasteczku, gdzie Salunia mieszkała przy swej zameżnej siostrze Końcowej, rodziców już bowiem nie miała. Tak przez ciekawość poszły sobie popatrzeć na ogień. Tam ujrzały Jerzego, w chwili kiedy po drabinie znosił chudobę całą biedactwa zamieszkałego na poddaszu. Był wtedy tak piękny w swem poświęceniu, w swej męskiej energii i ludzkim współczuciu z niedolą, a przytem i twarz miał i postawę całą tak ujmującą, szlachetną, że gdy przypadkiem rzucił wzrok na dziewczę stojącą w dole, od razu zapaliło się od spójrzenia Salusine serce. Od razu też Jerzy zaczął bywać u Końcowej, a gdy jej dzieci pozapały na ciężką wysypkową chorobę, z delikatnością duszy wyższej odczuł do głębi to nawiedzenie boże, dopomagał w doglądaniu chorego drobiazgu—był prawdziwie, jakby już do rodziny należał. Ta dobroć zjednała mu względy starszej siostry; miłość w młodszej dojrzała przez częste, codzienne widywanie się zakochanych. „Serce nie sługa,“ ale rozsądek jest panem postanowień: nieusłuchany, mści się kłopotami, troskami—nieszczęściem. Nie usłuchała go pani Końcowa, patrząca tylko na zakochaną siostrę, na dorodnego i wykształconego, pod każdym względem godnego Salusi młodzieńca. Skojarzyła czem prędzej małżeństwo, nie pytając się o zdanie rodziny,—o zdanie zwłaszcza jej, po stracie rodziców, patriarchy, p. Konstantego Osipowicza.

A p. Konstanty wraz z całą rodziną, dwiema zameżnymi siostrami, ich mężami, z całemi nawet Tołłoczkami miał zdanie wprost przeciwne małżeństwu. Jakim-że herbem wykazać się może p. Je-

rzy Chutka—on, syn chłopca? A bez herbu przecież nikt herbownej Salusi nie dostanie. Nie stało się to jeszcze nigdy w rodzie Osipowiczów, aby panny wychodziły za ludzi z gminu; hańby takiej i teraz Konstancy nie dopuści, jak mu Bóg miły, jak święta pamięć rodziców, a drogim obowiązkiem opiekuna! Co bieży to bieży, a co upadnie to leży—nie będzie miał nigdy Salusi Jerzy. Gdyby przynajmniej ziemię miał, kawał skiby własnej—Salusi-by wprawdzie nie dostał, ale-by więcej był wart, możnaby inaczej na niego patrzeć. A tak, golec zupełny i prostak—czego on chce od nich—i zamożnych i szlachetnych? Zapaliła się w p. Konstancję wątrobą—i zwoławszy z okolicy siostry na radę, gdy i Końcowa przyjechała z Salunią, aby interes ostatecznie ubić—własną swoją i ich też wymową, gniewem, groźbą, ciągłymi perswazjami—dokazał tego, że się dziewczyna zachwiała, przestała bronić ukochanego, potem poddawała się już poszeptom partii rzeczywistej jej godnej, wreszcie odesłała Jerzemu pierścienek. Dawno już Konstancy myślał dla niej o partii nieskończenie lepszej od takiego chudzińca, jakim był Jerzy; dawno już p. Kazimierz Jaśmont,—od wielu lat zajmujący się kojarzeniem szczęśliwych par małżeńskich het, na całą okolicę—nasuwał mu jako jedyną partję godną takiego rodu, takiej kobiety i majątku wzbijającego się nad poziom zamożności i biedy szlacheckiej—p. Władysława Cydzika, całą gębą bogacza, wprawdzie jeszcze dzieciaka drobnego, szczupłego, wyglądającego jak chuchro, a przytem nie bardzo silnego w rozumie, ale z tem wszystkiem młodzieńca obiecującego, że się z czasem dorobi i ciała i rozumu i majątku jeszcze większego.

Z tym tedy p. Cydzikiem na dzień umówiony przybywa p. Jaśmont—ubrany w uroczysty kożuszek, przedstawia go zgromadzonej rodzinie i zachwala a zachwala: półtorej włóki ziemi, dom na dwa końce wypořádzony, dziesięć krów w oborze, sto drzewek fruktowych w sadziku—kawaler wielce interesujący. A zkądże mu przyszło ubiegać się o pannę, w tym domu? Bo domzacy, a panna ma sześć p, sześć przymiotów, których symbole wyrazowe zaczynają się od litery p: jest pobożna, piękna, pracowita, pokorna, przystojna—wszystkim miła, i wreszcie posażna, który-to przymiot jednak wobec pięciu pierwszych jest już jakby bez znaczenia. Salusia odmawia, ale p. Jaśmont się nie zraża: powrócą jutro o tej samej godzinie. Powrócili—i postawili na swoim. Salusia została narzeczoną p. Cydzika, z którego się była namiewała na równi ze wszystkimi i z samym jego introduktorem Jaśmontem.

Jerzy Chutka został leśniczym w Laskowie, gdzie gospodarował p. Kulesza, rezydujący wśród lasów z żoną Teofilą i trojgiem czy też czworgiem dzieci. Mieszkanie było we wspólnym dworze. Najstarsza córka p. Kuleszów Amelka była już pełnoletnią: mogła kochać i pokochała się też w dorodnym, dorzecznym, za serce chwytającym leśniku. Wprawdzie p. Jerzy był zaręczony, ale pani Teofila nie traciła nadziei, „zaręczyny—pajęczyny“—mawiała. Aurelka coraz bardziej się przywiązywała. Po pierwszym liście Salusi, nadeszłym do Laskowa, gdzie już znajdowało się, westchnienie, czemu ukochany nie ma choć kawałka ziemi!—otrzymał nareszcie Jerzy list z pierścieniem, który on jej dał i prośbę o zatrzymanie na pamiątkę tego, który ona dała mu od siebie. Niedoczekanie jej! Pierścienek rzucił posłańcowi pod nogi—Kulesza ledwo go powstrzymał od grzmotnięcia posła w kark. Nastąpił dla obrażonego chwile mroku, stronił od Kuleszów, od ludzi, przebywał całymi dniami w lesie, sprowadził matkę do siebie, zamykał się, nie dojadł, nie dopił, nie dospał. Nurtowała go zgryzota prawowitej dumy. Ale im dalej się odsuwał, tem bliżej przymykała do niego Aurelka. Raz w nocy ojciec zeszedł ją na podłogę płaczącą, przytuloną do kąta. Z jakąż rozkoszą całowała Aurelka rękę matki ukochanego, jak mu ten ból z piersi wyrwać pragnęła!—Niema wiekiustych cierpień: i Jerzy się uspokoił, dusza wróciła do równowagi, odzyskana energia zerwała się do odwetu, a dobroć wrodzona serca zespoliła się z taką samą dobrocią Aurelki. Kończy sięowazgryzota tem, że Jerzy postanawia wyprawić ślub tegosa-

mego dnia, kiedy ona niewierna—wychodzić będzie za swego Cydzika.

Tam władzę swą wywarł instynkt gromady, przesąd; tutaj prawa człowieka, jego indywidualna wartość odniosła zwycięstwo. Tryumf przesądu w Tołoczach był tylko chwilowym, prędko przeminał. I tu prawa człowieka, prawa serca przemogły ostatecznie nad tą wrodzoną bezwładnością, nakazującą lgnąć do spokojnego bytu. Obrażona przez tego—dzieciaka, który wobec niej i względem niej wolę swoją mieć chce on, taki niedołęga—Salusia powraca na dawne swe drogi. Nocą wykrada się do Laskowa, nocą drze się przez śnieżny przestwór, nad ranem ze zmęczenia już pada pod krzyżem, i po krótkim wypoczynku pędzi znowu do ukochanego. Serce jej ucieka coraz dalej od wstrętnej niewoli w rodzinie do wyzwolenia na łonie Jerzego. Spotyka po drodze jadących gdzieś na jakąś widocznie zabawę. Nie wie, nie wiedząca, dziwi się, zastanawia, niepokoi, i z rosnącą niecierpliwością podąża do miasteczka, od którego tak blisko już do dworu w Laskowie. Kiedy tu przybyła, mroki wieczoru otulały już zimową naturę. W oknach domowstwa światła, pod oknami ciekawa gawiedź. Patrzy się, wpatruje, przykuwa wzrokiem: to Jerzy, to jego we se! W rozpaczny biegnie nad staw. Odrącona, opuszczona przez wszystkich,—sama jedna bez nadziei, bez ratunku. Nie dla niej życie. Pies tylko przychodzi ją od żywego świata pożegnać. Za chwilę będzie już tam, gdzie się nie cierpi z miłości. Ale niespodziewanie zjawia się ocalenie. Gabrys, krewny Osipowiczów, milczący, mrukwaty Gabrys, on, co lubi tylko kwiaty a nie lubi pieniędzy i nie przyjmuje nigdy żadnego poczęstunku, a ztąd słusznie, „głupim“ przewany—wyrwie ją z prze-rembła, utuli, rozgrzeje i odwiezie rodzinie. Serce powiedziało mu, gdzie jej szukać; nie nie mówiąc, pojechał i znalazł. Oile mógł kochać coś więcej—prócz uczciwości, kochał ją oddawna, ale nie dla siebie, i teraz jeszcze nie dla siebie ją wybawia.

Powieść opowiedziana tutaj z budowy swojej, ze sposobu przeprowadzania w niej przygód i wyszczególniania charakterów, jest dużych rozmiarów nowellą. Co się z obrębem obyczajów wspólnych wyłamuje i indywidualnie już ma występować, to przeważnie jest tylko symbolizowane, nie posiada wypukłości processów psychologicznych, dotykanych, narzucających z niezawodnym skutkiem oku widza zmienne kształty i barwy miotającego się ducha. Salusia zbyt nagle, pod względem artystycznym zbyt nagle, łamie się pomiędzy dzielną rozprawą z bratem i pozostałą rodziną, a odpowiedzią daną u płota „głupiemu Gabrysowi“ na jego: „Idź za sercem“. Jerzy także nie sprawia zadowolenia estetycznego od chwili, gdy się ze zgryzoty wydostawać zaczął, i w dalszym istnieniu swoim jest tylko symbolem samego siebie.

I Gabrys w powieści rozwiniętej należycie miałby wyrazistość większą, więcej bujności w swem dziwactwie, w niepodległości charakteru, silniej-by też do siebie przyciągał. Rozszerzyłby się również, wyróżniłby stosunek Aurelki do Jerzego, gdyby autorka chciała była napisać powieść psychologiczną. Pierwszy wątek od takiego utworu znajdujemy w uroczych wspomnieniach dzieciństwa Jerzego. Kilka tych stronice w początkach powieści w pierwszej wędrówce po lesie—wyjść mogło tylko z rdzennego talentu. To małe chłopię garnące się do ojca w uroczystej ciszy nabożeństwa najgłębiej wraża się w pamięć i w ostatniej chwili powieści, gdy już Gabrys, jadący z uratowaną od śmierci—niknie w mgłę oddalenia, ten syn Mikołaja Chutki wraca do czytelnika i spowiada mu się jeszcze raz z błędnego dzieciństwa swego.

S. K.

DAR OGNI.

Nikt nie zaprzeczy, że siła ognia jest i była zawsze dobrodziejstwem dla ludzkości, a najprawdźwierzszym, jeżeli nie najoczywistszym, tego dowodem jest wpływ, jaki wywarła na podniesienie kultury. Najbardziej rozpieszczony człowiek wieku pary i elektryczności przyzna, że wszystko co tylko mu służy do użytku, tylko z pomocą ognia powstać mogło.

Nietylko w obecnym czasie, ale już wiele, wiele lat temu, nawet narody żyjące w stanie dzikości nie znały lepszego środka nad ogień, tak dla przetwarzania na pokarm płodów, ziemi i lasów, jak dla ogrzewania i oświetlania swoich namiotów i jaskiń. Ogniem również wystraszały te dzikie ludy napadające nocą na ich siedziby dzikie zwierzęta.

W samej rzeczy, bez znajomości tego najpotężniejszego daru nieba niepodobniestwem byłoby dla człowieka wznieść się tak wysoko w materjalnym rozwoju i doskonalić się za pomocą coraz-to nowych odkryć i wynalazków, a obok tego osiągać i moralną podniosłość ducha, cenić go, tęsknić do niego i tęsknotą a czynem opromieniać wrodzony każdej istocie żywej zmysł życia.

Niepodobna zrozumieć, ani nawet w najbujniejszej imaginacji przedstawić sobie obrazu, owych strasznych czasów, w których nie znano jeszcze ognia. Istnieją przecież podania podróżników po morzach i lądach jakoby w niezbyt jeszcze odległej przeszłości pierwotni krajowcy wysp Samoa czyli Zeglarskich na Oceanie Wielkim, dowiedzieli się o istnieniu ognia dopiero od żeglarzy nawiedzających ich ustronne wysepki. A dowiedzieli się w bardzo nieprzyjaznych dla siebie okolicznościach, bo podezas straszego pożaru, który chałty ich w okamgnieniu poobrać w perzynę. Można jednak przypuszczać, sądząc po skarbnicy ich mowy, że szczepy te miały już pojęcie o ogniu i świetle, zanim krzewiciele kultury nawiedzili niegościnne ich wybrzeża.

Ogień jako ogień był im znany, lecz doświadczenia z ogniem, przez najeźdźców uskuteczniane, wydawały się im niezrozumiałymi. Można jednak napewno twierdzić, sądząc ze spopielenych resztek odnajdywanych w najdawniejszych jaskiniach, że człowiekowi przedhistorycznych czasów ogień, nietylko był już znany, ale służył mu do różnych użytków. Znajomości ognia, korzystania z węgla, dowiodły również wykopaliska u narodów środkowej Europy, które prowadziły życie na wzór Eskimosów jednocześnie z reniferem epoki lodowej.

Był to pod wszelkimi względami tajemniczy wypadek, gdy przed okiem zdumionego i powoli ujarzmianego pierwiastkowego człowieka, zabłysnął pierwszy wybuchający w górę płomień; i właśnie ta tajemniczość pochodzenia jest zasadniczą myślą, panującą w pojęciu mytu o początku ognia.

W starożytnym Iranie, tej kolebce kultury europejskiej, przypisywano odkrycie ognia źródłom nafty w Baku, które w samej rzeczy przez piorun zapalone mogły być pierwszym i niewyczerpanym źródłem dobroczynnego żywiołu. Do tego wierzenia, otulonego w mgły wieków, zalicza się podanie Ammiana Marcellina, historyka rzymskiego, według którego Magowie perscy wyraźnie twierdzą: „że z nieba spadłym ogniem goreją wiecznie płonące ołtarze“. Również prawdopodobnym jest domysł, że zaznajomiły człowieka z ogniem częste wybuchy wulkaniczne w Azji, a szczególnie w Ameryce, częstsze dawniej, aniżeli dziś; od gorejącej lawy, od żużli rozrzuconych i gorącego popiołu zapalały się lasy i stepy, i wybuchy wulkanów grały tu taką samą rolę, jak piorun w Baku, albo gaz w tajemniczych źródłach ognia w Chinach.

Znany mit Greków o wykradzeniu przez Prometeusza z Olimpu ognia, w celu udzielenia go istotom śmiertelnym, i o strasznym wyroku rozgwie-

wanych bogów, o przykucia przestępcy do skały za porwanie najszacowniejszego ich klejnotu, którego oni jedni tylko byli godni — nie jestże czem innym, jeno zapożyczeniem treści z dzieł religijnych staro-indyjskich o zamkniętym w jaskini bożku ognia, *agni*, łacińskie *ignis*, nasz *ogień*, a może i z tegosamego pierwiastku greckie *hagios* — święty.

Wydobywanie ognia przez pocieranie drzewa o drzewo wyjaśnia baśń chińska, opowiadająca jak pewien król czy cesarz spoztrzegł nagle w puszczy drzewo cudowne, a na tem drzewie ptaka, który, stukając dziobem w korę, wydobywał iskry.

Pomimo niezaprzeczonego podobieństwa i jakby równoległości pomiędzy legendami różnych, wcale się nie znających narodów, byłoby błędem przypisywać wynalazek ognia, zesłanie go lub ściągnięcie z nieba, temu lub owemu narodowi. Właśnie wielość podań wskazuje, że wielki czyn dla całej kultury jest zasługą rozmaitych szczepów, które spełniały ją nie jednocześnie i zawsze niezależnie jeden od drugiego. Cześć ognia wobec zagadkowej jego istoty dowodziła, nie tylko nieudolności ludzkiej, ale wysokiej wartości samego żywiołu, odczuwanej przez człowieka. Było to uczucie tak silne, że się zespoliło z czią dla samego bóstwa.

W wysoko rozwiniętej Grecji nawet Phaëton, syn Apollina, jak niesie podanie, nie uniknął kary za zuchwałą chęć zmierzania sił swoich ze słońcem, tą najwyższą doskonałością i źródłem wszelkiego ognia. Podczas gdy ludy stojące na najniższych szczeblach oświaty teraz jeszcze w ślepym fetyszyzmie oddają hołd wszystkiemu, co niepojęte i niezrozumiałe, i upatrują w każdym płomieniu dobroczynne lub szkodliwe bóstwo — Parsom, rzucającym pierwsze nasiona kultury aryjskiej, danem było odróżniać ogień święty, bezpośrednio z nieba zesłany od świeckiego, lecz również cennego, ognia elementarnego, który jeszcze stosownie do swojego pożytku i „czystości“ na rozmaite rozdzielał się stopnie.

Ogień święty oznajmiał i uwiadczał osobiste ukazanie się bóstwa, uważanym był za wynik jego ducha i mocy, i zarazem najczystszy symbol boskości. To uduchowione pojęcie rozwinęło cześć dla ognia wpośród wszystkich narodów zamieszkujących kraje aryjskie, gdy tymczasem na Wschodzie, cześć ta zamieniała się gdzieś indziej w dzikie pokłony na cześć Molocha lub Baala.

Zasadniczą podstawą czei ognia był obowiązek utrzymywania płomienia, którego powtórne w razie zgaśnięcia rozpalenie długo jeszcze z wielkimi trudnościami było połączone. Biada zaś pilnującemu, który lekceważył powierzony mu dozór nad płomieniem świątyni! Najcięższe kary cielesne lub pogrzebanie żywcem okupowało przestępstwo, rzadkie wśród czystych dziewię, westalek rzymskich, pilnujących świętego ognia.

Jak głęboko przez uczucia duszy ludzkiej strzeżonym jest obyczaj w Grecji, w Rzymie, w starej Germanii i Wschodnich Indyach, w Meksyku i Peru, pielęgnowania w poświęconych miejscach świętego ognia — najlepszym tego dowodem jest do dziś dnia zachowany zwyczaj „wiecznie tlejącej lampy.“

Podobny lecz świecki zwyczaj, przypominający dawne głęboko duchowe znaczenie ogniska symbolizującego rodzinę — utrzymało się w Hollandyi. Tam, po gospodach, zajazdach, znajduje się często ozdobna miska miedziana z popiołem torfowym a żarzący się w niej przez cały dzień węgiel służy na użytek ogólny.

Jeżeli zwrócimy się myślą do owych starych czasów, gdy człowiek nie mniej potrzebował ognia, niż go potrzebuje dzisiaj — nie zdając sobie z tego sprawy odrazu, pojmujemy jednak głęboko treść ofiary ognia, pośrednictwo pomiędzy mieszkańcami ziemi a ich bogami, oraz palenie ciał zmarłych. Jest to najwyższa cześć, jaką tylko można oddać umarłym, gdy się ich zaszczęca tym najszczytniejszym darem bogów — darem, którego czystość przenika duszę zmarłego.

Jakże wzruszającym i pełnym wysokiego znaczenia jest pochowanie Baldura przedstawiciela najprawdziwszej czystości w starogermańskiej mytologii! Przez zdradę Lokiego, — uosobienie pier-

wiastku złego i niszczącej potęgi ognia — Baldur został zabitym na olbrzymim okręcie, przy udziale całego grona bogów. Odin, ojciec bogów, miotając gromy błyskawicznym młotem, zamienia okręt w grób płomienisty i zatapia go w nieskończoności morza — w Wieczności.

Pomiędzy narodami cywilizowanymi przebrzmiały oddźwięki pogrzebów ogniowych, gdyż obecnie znów wznowione palenie zwłok, odarte z niegdyś tak idealnej treści, nie może być zgola uważane za żaden obrzęd pogrzebowy. Wspomnienie jednak czei ognia zachowano do dnia dzisiejszego w górach, jako uroczystości ogniowe i zabawy z płomieniem przy radosnych okrzykach podczas obchodu świąt wiosennych.

Człowiek przedpotopowy nie ograniczał się do biernego przyjęcia ofiarowanego sobie żywiołu na wzór małpy, która jeszcze teraz w ojczywych lasach z podziwem przypatruje się opuszczonym przez ludzi ogniskom i bawi się żarzewiem, nie próbując ani uciekać, ani też, pozostawszy, naśladować człowieka w rozdmuchiowaniu dobroczynnego płomienia. Człowiek, przeciwnie, w najdawniejszych, niepochwytanych już dla historii epokach, zdobywał sobie swój własny byt, własnymi też środkami mozołem i przedpotopem już pomimo swej dzikości dojrzał do rozwoju pod wpływem szkoły całych tysięcy lat.

Tak, jak każde dziecko, które samo poznaje i wcześniej sprostega, że ciepło powstaje skutkiem tarcia, że żelazo, lub kamień o kamień uderzony, stwarza iskrę, — tak i rodzaj ludzki uczy się tego w swem dzieciństwie.

W samej rzeczy, pierwiastek tarcia daje początek narzędziom do wytwarzania ognia, począwszy od najdawniejszych aż do dzisiejszych naszych zapalek. Wyjątkowo tylko używano w klasycznej starożytności, a zwłaszcza w Delfach, jak Plutarch twierdzi, palących zwierciadeł, podobnych do tych, które dziwnym sposobem znaleźć można w Tybecie i u stóp Himalajów, gdzie używane są, jak w kształtach, tak w substancjach bardzo pierwiastkowych. Pałace szkła, sprowadzane z Chin, służą powszechnie do zapalania lontów.

Przyrząd do zapalania w użyciu będący stanowił przeważnie świder ogniowy, a nawet jeszcze dziś używanym jest przez plemiona nieokresane pod najrozmaitszymi postaciami. Składa się on z dwóch kawałków twardego a różnorodnego drzewa, z których twardszy, prostopadły lub poziomy, silnie się trze o mniejszy, w którym się go obraca, jakby się go przewiercić chciało. Tworząca się przytem mączka miążgi drzewnej przez powstające przy tarcu ciepło zamienia się w żarzący węgiel, z którego płomień napowrót wydobyc jest rzeczą szerególną zručności. Ażeby podwoić szybkość kręcenia, co jest nader ważnem, niektóre narody ów kawał drzewa przeznaczony do wywiercenia otworu w drugim, opasują cięciwą od łuku, inne znowu jak np. Irokezi (Czerokezi), zamieszkali w północnej Ameryce, przymocowują na prostopadłym drzewie kamień albo bryłę gliny, co przedewszystkiem podnosi ciśnienie a potem na wzór koła rozpędowego reguluje szybkość.

Do tych sposobów, z których skutek może być otrzymanym tylko przy suchym materiale i powietrzu, przybywa jeszcze inny, polegający na przesuwaniu jakiegoś ciała przez sztucznie przeswidrowane kawały kości. Człowiek przytem uczył się także spożytkowywać to codzienne swe doświadczenie, że iskry sypią się przy rozdrabnianiu, ciosaniu i szlifowaniu kamieni, do czego mu także, tylko narzędzia kamienne służyły, a dopiero później z brzozy i żelaza.

Ażeby to sprostowanie należycie zużytkować, potrzeba była wynaleźć materiał, któryby odlatując iskrę chwycił i rozpłomieniał, ponieważ tu nie było już, jak przy świdrach drewnianych, materiału zapalającego się własną siłą i jednocześnie podsycającego iskrę.

Wynalezionym tym materiałem był pewien rodzaj hubki, która była i jest używaną dotychczas. Hrzesania ognia z kamienia narody pierwotne wyjątkowo tylko używały, a dopiero w klasycznej Starożytności, wprowadzono je nawet przy owych świdrach drewnianych, ma się rozumieć, że nie w formie dziś u nas używanej. Po większej części używano w tym celu wysuszonego bastu, rdzenia bam-

busu, w południowej Ameryce włośatego filcu, jakim pewien rodzaj mrówek napełnia swoje budo-
wle, lub też, jak w Australii, wolno tylko tłącej się szyszki rośliny zwanej tam *Banksia*.

Pierwotny ten sposób wydobywania ognia przez pocieranie utrzymał się w mało nawet zmienionej formie aż do dnia dzisiejszego, pomimo mozolnych trudów, jakie przy nim ponosić potrzeba. Byłoby nawet zajmującym zwrócić uwagę na tę w oczy bijącą opieszałość, jaką postępy przemysłu i wiedzy odznaczały się w tym zakresie. Toć jeszcze dziś wieśniak, który wychowywał się w „dobrych starych czasach“ wydobywa ogień z zapalniczki odziedziczonej po swoich pradziadach!

Ostatecznie, czyż i filozofia naszych zapalek, niezależnie od chemicznych właściwości wyrobu, nie opiera się również na zasadzie tarcia?

Kronika działalności kobiecej.

— Według ostatniego rozporządzenia rządowego uczeunice, które ukończyły w gimnazyach kurs nauk ze stopniem dostatecznym z większej części przedmiotów wykładowych, mają prawo do otrzymania patentu nauczycielek prywatnych, z tem jednakże zastrzeżeniem, że nauczać będą tylko tych przedmiotów, z których poprzednio odbywały wstępne, czyli próbne wykłady.

— Uniwersytet kijowski wydał pierwszy dyplom na pomocnika aptekarskiego kobiecie — p. Maryi Makarównie.

— Hr. Alexandra Branicka, zapisała 50.000 rs. na zasilenie kapitału zakładowego wiejskiego banku w Białej Cerkwi; 20.000 rs. na urządzenie trzech kass pożyczkowych przy zarządach gminnych w byłych dobrach swoich; 9.730 rs. na budowę domu dla szkoły rzemieślniczej w Stawiszczach; 17.094 rs. na utrzymanie w 1892 r. szkół w Stawiszczach i Kożanach, oraz na wydatki szkół kościelno-parafialnych w dobrach, które były jej własnością. Kapitał, pozostały po wydaniu powyższych sum, stosownie do rachunku, jaki wypadnie na d. 1 stycznia 1893 r., stanie się kapitałem nienaruszalnym imienia hr. Alexandry Branickiej. Procenta od tego nienaruszalnego kapitału zaliczać się mają corocznie do podziału: 5.000 rs. na utrzymanie szkoły w Stawiszczach, 1.625 rs. na utrzymanie szkoły w Kożanach, 2.000 rs. na sprawy filantropijne i narzędzia we włościach, które były niegdyś jej własnością. Pozostałe summy pójda na szkoły kościelno-parafialne, oraz elementarne tychże dóbr.

— Hr. Marya Branicka, której dobra obejmują 65% obszaru powiatu wasilkowskiego, zrzekła się przy regulowaniu spraw czynszowych na rzecz czynszowników zaległej u nich summy 3.000 rs. Obok tego pani ta poczyniła na rzecz włościów wiele bardzo znacznych ustępstw.

— Zmarła niedawno ś. p. Paulina Zbyszewska zapisała 15.000 rs. na ochronę Nr 27, której była założycielką; 10.000 rs. na szkołę rzemiosł, prowadzoną przez prof. Kühna, 15.000 rs. na kasę imienia Mianowskiego.

— Za staraniem osób dobrej woli ma się wkrótce otworzyć w mieście naszym pensjonat dla kobiet samotnych, z których każda mieć tam będzie osobny swój pokój, odpowiednio umeblowany, całodienne utrzymanie i wspólny salon do użytku.

— P. Wanda Modlińska z Krzywosączy zapisała się do Towarzystwa Jedwabniczego.

— Do nowych gałęzi domowego przemysłu wiejskiego zaliczyć należy wyrabianie rękawiczek wełnianych przez właścianki z okolic Warszawy: z Wilanowa, Służewa, Jeziorny. Rękawiczki te z różnokolorowej wełny, tanie a praktyczne, znajdują łatwo zbyt na targach warszawskich, gdzie je przynoszą producentki, przybywając z nabiałem i innymi przedmiotami. Rękawiczki te znajdują się i w sklepach.

— Córką byłego kassjera na stacyi kolei Nadwiślańskiej w Mławie, p. M. B., otrzymała posadę

kassyerki kassy biletowej z pensją roczną 600 rs. i prawami do emerytury.

— Na odbywającej się w Łodzi wystawie ogrodniczej przyznano wystawczynom nagród 12, a to: w dziale II-gim konkursie IV-ym nagrodę pierwszą: dyplom na medal złoty przyznano p. Annie Scheiblerowej za liczny dobór roślin cieplarnianych, obok tego pani ta otrzymała: w konkursie V-tym tego działu nagrodę I i dyplom uznania; w konkursie VI-ym medal srebrny, przyznawany za dobór najmniej 5 roślin doniczkowych w wielkich okazach. W konkursie VIII-ym roślin obrazkowanych, storczyków i ananasowatych, wielki medal srebrny. W konkursie X-ym wielki medal srebrny za begonie; w konkursie XI-ym mały medal srebrny; w konkursie XVII-ym medal brązowy; w konkursie XXII-im nagrodę II. W dziale wystawy III podziękowanie od zarządu za pieczarki i pomidory, w dziale IV nagrodę II, medal srebrny za ananasy, w konkursie XXXV-ym za bardzo piękne winogrona dojrzałe pod szkłem nagrodę I: wielki medal srebrny. P. Bartkiewiczowej przyznano na konkursie XXI-ym medal brązowy.

— Do Bazaru rzemieślniczego, założonego świeżo kosztem 10.000 rs., przyjmowane będą obok wyrobów rzemieślników cechowych i wyroby kobiece, oraz przemysłu wiejskiego.

— W Kielcach otwartą zostanie dnia 1-go Października przez p. Elżbietę Grobicką, szkoła rzemiosł dla kobiet. Zakład taki jest zawsze pożądanym, z warunkiem przecież, aby kierunek jego był praktyczny i odpowiadający potrzebom miejsca i ekonomicznego naszego stanu. W mieście naszym niejedna z takich szkół upadła z tego właśnie powodu, że naśladować zagranicę, uczyła tych samych rzemiosł sztuki stosowanej do przemysłu, które u nas znajdują mało zastosowania.

— Dwadzieścia ośm seminarystek z patentami dobrze ukończonych nauk, zgłosiło się do okręgowej rady szkolnej we Lwowie, z prośbą odbywania bezpłatnej praktyki w miejskich szkołach ludowych. Przecież rada szkolna nie uwzględniła żadnego z tych żądań z przyczyny, że liczba praktykantek, przygotowujących się do zawodu nauczycielek elementarnych, przewodzi o wiele liczbę potrzebnych. Jest tak przecież w mieście samem, na wsi zaś dzieje się wprost inaczej, i jest tam otwarte pole do użytecznej pracy nauczycielek szkół elementarnych. Wyrażono przy tem uwagę bardzo trafną i prawdziwą, że w ogóle kobiety potrzebujące pracy na zarobek, cisną się przeważnie do miast, kształcąc się do zawodów pracy miejskiej, gdy na wsi znaleźć-by się mogła praca chlebobodajna łatwiejsza i użyteczniejsza. We Włoszech kobiety w znacznej liczbie są ogrodniczkami; w Czechach wiejskie gospodarstwo kobiety darzy kraj wielką obfitością płodów tego gospodarstwa, wskutek czego niższenie ceny drobiu i tym podobnych przedmiotów, czyniąc je przystępnymi dla znaczniejszej liczby konsumentów, daje pracy gospodarstwa kobiecego pole szersze.

— Pierwsze na Węgrzech gimnazjum dla dziewcząt ma powstać w Peszcie w skutek podniesienia kwestyi wyższego wykształcenia kobiet w krajowym sejmie węgierskim. Podniosło ją stowarzyszenie literatów i professorów, wykazując, iż wyższe wykształcenie kobiet leży w dobrze zrozumianym interesie każdego społeczeństwa, nietylko już dla tych ważnych względów rodziny, wśród której rozumna i uszlachetniona przez wyższą wiedzę kobieta, umie być lepszą żoną, towarzyszką życia mężczyzny, oraz matką, która urabia moralnie pokolenie przyszłe społeczeństwa swego. Istnieje obecnie jeden jeszcze ważny względ, przemawiający za wyższą nauką kobiety. Znaczną jest liczba kobiet samotnych. Przy dawniejszym ukła-

dzie życia mieściły się one łatwiej, niż obecnie w rodzinach, jako rezydentki, panny do towarzysstwa, jako ubogie kuzynki zresztą, co obecnie nie istnieje już wcale, i potrzeba jest kobiecie nowożytnej, aby umiała pracować samodzielnie na utrzymanie swoje: aby można jej było oddać w ręce całe nauczanie elementarne, aby obok tego, mogła być wykształconą lekarką kobiet i dzieci, aby pracowała z korzyścią swoją i społeczeństwa w literaturze i sztuce. Zadaniem wspomnianego gimnazjum będzie na podstawie ogólnego wykształcenia przygotowywanie kobiety do studiów uniwersyteckich, zwłaszcza na fakultet medyczny i filozoficzny. Pierwsza klasa gimnazjum takiego otwiera się z początkiem bieżącego roku szkolnego w Peszcie. Wszyscy zawezwani tu nauczyciele ofiarowali się wyklądać bezpłatnie przez cały pierwszy rok szkolny.

— W oddziale kobiecym wystawy przemysłowej w Dublinie przyznano kilkanaście nagród za koronki, wyrobu tak kobiet wiejskich, jak i pań z klasy inteligentnej, które przemysł ten z poczciwości uczucia obywatelskiego między kobietami wiejskimi rozpowszechniły. Otrzymała je zarówno przełożona Klarysek w Kenmare, jak i prze-

łożona Sióstr Miłosierdzia w Kinsale, także za rozszerzanie tego przemysłu po wsiach i małych miasteczkach.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincji przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: Arkusz 5 tomu II-go powieści pod tytułem **Złudzenie i rzeczywistość**, przez Beatrycę Whitby. Przekład z angielskiego.

Cale dzieło rs. 6.

Zeszyt 25 kopiejek.

NOWY TESTAMENT PANA NASZEGO JEZUSA CHRYSYSTUSA

podług textu łacińskiego Wulgaty.

PRZEKŁAD X. JAKÓBA WUJKA.

zatwierdzony przez Stolicę Apostolską

Wydanie nowe in folio z komentarzem

Zaprobowane przez Konsystorz Archidiecezyi Warszawskiej

ozdobione 78 wspaniałymi ilustracyami

GUSTAWA DORÉ

Cena dzieła rs. 6 z przesyłką pocztową rs. 7.

W pięknej oprawie ze złoceniami i brzegami złożonemi w futerale rs. 10—
z przesyłką rs. 11—do odleglejszych gubernii Cesarstwa rs. 12.

Dzieło to nabywać można również **częściowo** to jest zeszytami; zeszyty rozsyłane będą co 10 dni.—Zeszytów jest 24. Cena zeszytu 25 kop. pocztą 32, na prowincyą ekspeduje się po 5 zeszytów naraz.

Księgarnia M. ARCTA, ulica Nowy-Świat N. 53.

Można nabyć lub prenumerować to dzieło również za zaliczką pocztową;—znajduje się we wszystkich księgarniach.

TREŚĆ: Nowa myśl pedagogiczna przez M. I.—Tomcio i Romcio, humoreska przez Esteję (dalszy ciąg). — Przegląd teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego.—List z Anglii, przez Henryka. — Przegląd piśmienniczy, Dwa najnowsze utwory Orzeszkowej (dokończenie).—Dar ognia.—Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: Arkusz 5-ty tomu II-go powieści pod tytułem **Złudzenie i rzeczywistość** przez Beatrycę Whitby. Przekład z angielskiego. Przegląd mód. 34 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr. 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 2 Сентября 1892 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

PRZEGLĄD MÓD.

Bielizna i ubrania dzieciinne.

Mody dzieciinne, bądź co bądź od drugiego roku życia podlegają już pewnym zmianom. Bielizna nawet dziecienna, nie jest z pod tych praw wyłączona, czego najlepszym dowodem są koszule, które niedawno jeszcze robiono z materiału bawełnianego, obecnie robią z cienkiego płótna; głównie z powodów higienicznych, bo płótno nierównie jest chłodniejsze na upały. Na inne zaś części bielizny służy szyrting, szefon, półbatyst, dymka, barchan i satynka w deseń.

Począwszy od 2-go do 4 go roku życia, w kroju koszul, tak dla dziewczynek, jak dla chłopczyków, niema żadnej różnicy. Koszula powinna być gładka, łatwa do uprania, bez rękawów, spinana na ramionach na guziki i ściągnięta tasiemką w gorsie. Inne znowu koszule krajane są: stan razem z rękawami a całą ich ozdobą dziergane zabki, lub tak znany z trwałości i mocy tryming. Dla chłopczyków od 5-go roku życia robią koszule, mniej więcej formą koszul męskich z zakładkami z przodu z pół-długimi rękawami i z kołnierzykiem wykładanym głęboko podciętym.

Od 10-go roku należy przydłużyć rękawy i wykrój szyi podwyższyć.

Od 12-go roku, chłopczyki noszą już małe półkoszulki. Jest to wielka wygoda, pomijając nawet oszczędność, bo taką koszulkę łatwo w ciągu dnia zmienić, gdy tego wypadnie potrzeba, zwłaszcza po powrocie chłopca ze szkoły.

Majtki z materiałów wyżej wymienionych służą tylko do lat 4-eh a potem zastąpione są majtkami z materiału trykotowego. Nocne koszule, jak dla dziewczynek, tak dla chłopczyków zdobią galonami, tkanymi w deseń kolorowy. Koszule dla pańienek w niczem nie różnią się co do kroju od koszul dla osób dorosłych, tak samo i majtki, które do 14-go roku życia powinny być zapinane na boku. Przybranie majtek stanowią: haftowane falbanki, nicianna koroneczka lub poprostu kilka rzędów drobnych zakładek. Dalej zalecamy dla wygody rodzaj gorsecików z dymki angielskiej, lub też robione na drutach, głównie dla utrzymywania majtek i spódniczki. Starsze panienki, używają takichże gorsecików z dryliszku, ale krój ich powinien być bardzo wygodny, ażeby nie tamował ruchów. Spódniczki są z barchanu w deseń kolorowy, z flanelki, szyrtingu lub półbatystu, i skrajane albo razem ze stanem, albo umocowywane za pomocą dziurek i guzików do spodniego stanika lub gorsecika.

Na letnie sukienki, przeważnie używają materiałów jasnych do prania, lub zupełnie białych, jak batyst, zefir, mul broszowany, muślin oraz materiały wełniane angielskie. Forma

dla małych dziewczynek jest niezmiennie długa, prosta, sukienka z karczkiem kwadratowo wyciętym, stanik krótki z paskiem prawie pod pachą z ukośnego pasa z przodu, zakończony okrągłą kokardą z tegoż materiału. Rękawki bardzo bufiaste, zakończone u ręki mankietem obcisłym, zapiętym na guziki. Spódniczka, którą się kładzie na flanelkę a pod suknią powinna być z satinki, półbatystu lub muślinu, jeżeli suknia jest lekka, zawsze w kolorze sukni. Strojnniejsze sukienki garnirują w dole marszczoną falbaną koronkową lub gipiurową, takąż koronką zdobi szyję, naszyta w kwadrat, jak dla starszych osób. Skarpetki i pończochy są zawsze czarne przy angielskich trzewieczkach bez obcasów, zapiętych na przepaskę. Tak skarpetki jak pończoszki, są równie modne do lat 9. Forma amerykańska jest także bardzo noszona, czyli wolna fałdzista sukienka przepasana pasem. Gust francuzki przekłada sukienki z gorsecikami i naramiennikami ze wstążki, do czego zwykle należy biała batystowa bluzka z długimi rękawami.

Małe chłopczyki noszą ciemne majteczki z szewotu i jasne bluzki z flanelki w paski, lub innego jakiego, formą zwyczajnej koszuli, włożonej pod majtki i przepasanej szerokim pasem ze skóry.

Kapelusze i czapeczki dzieciinne robią bardzo z batystu zastosowanego do sukni, ale i w tym kierunku wielka panuje różnorodność. Robią je już to z rozmaitych materiałów wełnianych, już to z pletni słomianej zawsze duże; — kolory, brązowy

i różowy największe mają w tym roku powodzenie, przybierają je muślinem i lekkimi kwiatami. Kapelusze duże florenckie nie mniejszem cieszą się powodzeniem, przybierają je wstążkami w jednym kolorze, lub też wstążką szkocką. Chronią one od słońca i ładnie ubierają, szczególnie panienki od 12—15 lat.

Zalecamy zawsze matkom jak największą prostotę w ubieraniu dzieci, ale kładziemy wielki nacisk na czystość, która jest konieczną dla zdrowia a zawsze miłą dla oka.

L. C.

Suknia panny młodej z bengaliny i gazy jedwabnej.

Rycina Nr 1 i 23.

Suknia z białej bengaliny i z tegoż koloru gazy, złożona z bluzki z gorsecikiem i z spódnicy powłóczystej z fałdą „Vatteau“. Spódnica z bengaliny, zaopatrzona całą jedwabną podszewką, tren zaś oprócz tego do połowy wysokości podkładem. Otoczona w dolnym brzegu falbaną z materiału jedwabnego wewnątrz, a na zewnątrz falbaną układaną w podwójne kontrafałdy z gazy jedwabnej. Gorsecik wykonany z plis gazowych ułożonych na materyale jedwabnym. Bluzka z gazy podług ryc.

Koszula dla chłopczyka od 11—13 lat.

Rycina Nr 8. (Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 16—21).

Skrajając z szyfonu fig. 16, 17, 19 po jednej części; fig. 20 i 21 po dwie części, złożone wzdłuż środka, ale należy stany przydłużyć stosownie do potrzeby w kierunku strzałki (oryginał ma 80 cen. przedniej długości), fig. zaś 18, 19 i 21 skrajając z materiału podwójnie złożonego. Po wykonaniu w przednich częściach nacięć, wyłożyć brzegi wzdłuż linii zgięcia, wystebnować podług ryc., zaopatrzyć w guziki i w dziurki. W poprzek ułożyć kontrafałdę, mocując ją na *, co należy pokryć paskiem z materiału. Stany zeszyć od 31 do 32, aż do rozporka 24 c. dług., w który wszyć klinik. Tylną część stanu zmarszczyć w górnym brzegu od † do † i połączyć podług cyfr z częściami ramion zeszytych od 33 do 35. Po zmarszczeniu przedniej części stanu od 36 do * połączyć takowy z ramionami i wszyć kołnierz zaopatrzony w dziurki i w guziki. Zeszyć rękawy od 31 do 39, w rozporki wszyć kliniki, zaopatrzyć w mankiety i wszyć w koszulę.

Majtki spodnie z trykotu dla chłopczyka od 4—6 lat i od 9—11

Rycina Nr 13 i 14.

Majtki z trykotu bawełnianego niewiarowego, w górnym i przednim brzegu podług potrzeby zaopatrzone podszewką oraz guzikami i odpowiednimi dziurkami.

Kieszonka na krawaty ozdobiona haftem i robotą szydełkową.

Rycina Nr 2 w Bluszczu Nr 38.

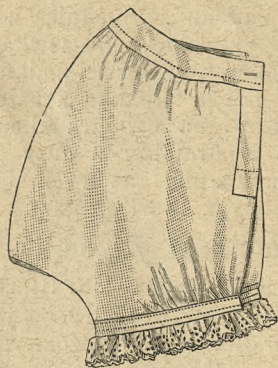
Kieszonka wykonana na tkaninie lnianej koloru popielatego, zaopatrzona podszewką z atlasu ponsowego. Skrajając



Nr 1. Suknia panny młodej z bengaliny i gazy jedwabnej (do ryc. Nr 23).

Nr 2. Suknia panny młodej z atlasu ozdobiona tiulem przewlekany i haftem z pereł (do ryc. Nr 24). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—9.

dwie części po 34 c. dług. a 19 c. szer., oraz 3 części, na wyłożeniu 18 c. szer., z których jedno ma odpowiadać długości kieszonki, dwie drugie przeznaczone są na poprzeczne brzegi po 16½ cen. dł. Wyłożenia te zaokrąglić na zewnętrznych rogach. Po wykonaniu haftu podług ryc. Nr 44 ścięciem krzyżowym bawełną ponsową zaopatrzyć części podszewką, spodnią zaś część podkładem z kartonu i waty i umocować w górnej połowie 20 cent. dług. jedwabne gumowe sznureczki, gdzie części mają być z sobą złączone. Brzeg zewnętrzny otoczyć galonem, wykonanym szydełkiem podług ryc. Nr 2 w Bl. Nr 38, dwoma cieniami ciemno-ponsowej krętej bawełny na podkładzie z tektury w formie serca, a mianowicie: wykonać pierwsze dwie koleje jaśniejszą ponsową jak następuje:—1 kolej: ciągle naprzemian 22 ścisłe ocz. w górną



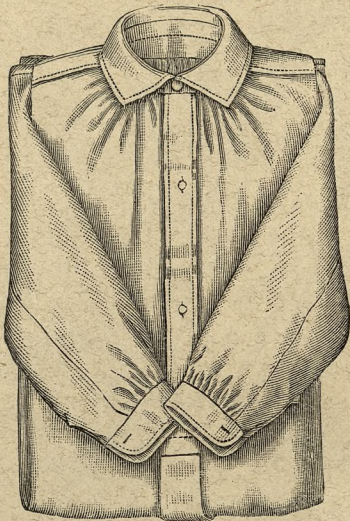
Nr 4. Majtki dla chłopczyka od 2—3 lat. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 72).



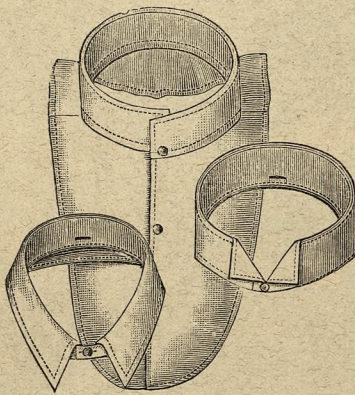
Nr 3. Stanik z krepy chińskiej, aksamitu i tiulu haftowanego.



Nr 6 i 7. Kaftanik z trykotu dla chłopczyka od 6—8 lat i od 13—15. (Krój i op. odwr. str. tabl. Nr XII, fig. 68—71).



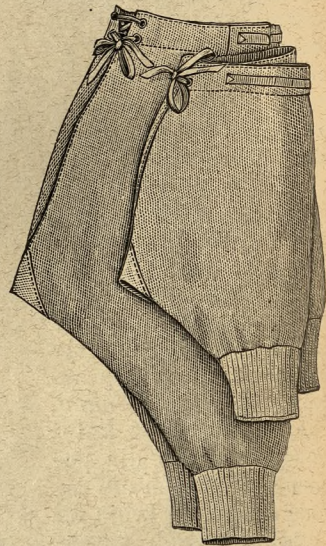
Nr 8. Koszula dla chłopczyka od 11—13 lat. (Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 16—21).



Nr 9—11. Półkoszulek i kołnierze dla chłopczyka. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 32—37).

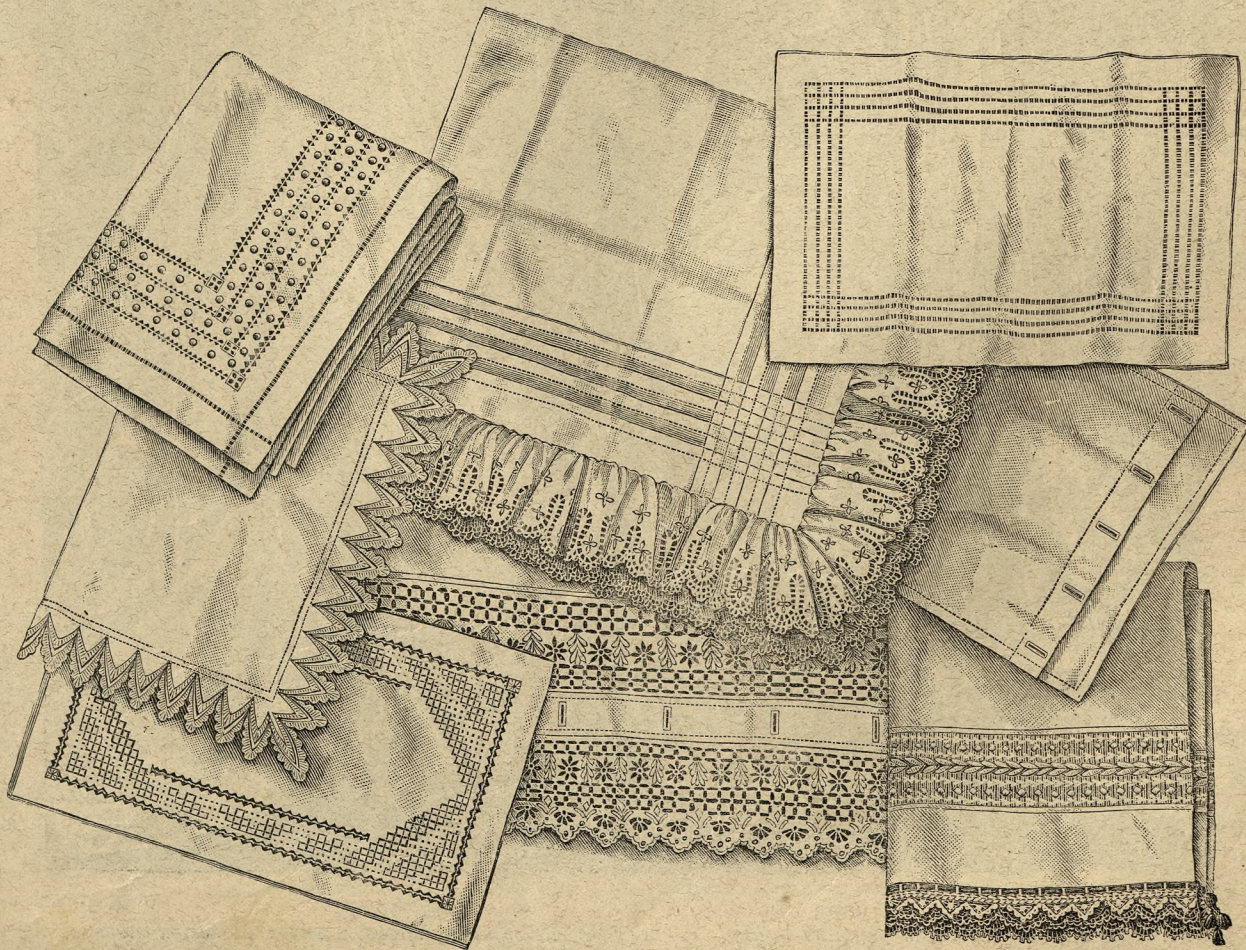


Nr 12. Koszula nocna dla chłopczyka od 9—11 lat (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr X, fig. 59—63).



Nr 13 i 14. Majtki spodnie z trykotu dla chłopczyka od 4—6 lat i od 9—11

połowę następnej figury; 3 powietrzne oczka w każdy z 4 rog. fig. zamiast 22 ścis. o., 33 ścis. o., na koniec 1 ścis. łańc. ocz. w 1 ścis. ocz. pierwszej fig.—2 kolej: * 1 ścis. o. w ostatnie ścis. o. następnej fig., 24 ścis. ocz. w wolną jeszcze połowę dolną tejże, 1 ścis. łańc. ocz. w 1 ścis. o. wykonane w tejże fig., 3 pow. o., od * powtórzyć, ale w każdym rogu fig. zamiast 24 ścis. o. tylko 12 wykonać, a zamiast 3 pow. o. tylko 1 pow. o., na koniec 1 ścis. łańc. o. w to samo o., w którym przerobiono 1 ścis. o. tejże kolei.—3 kolej: ciągle 1 ścis. łańc. ocz. w każde o. 1 kolei, na koniec 1 ścis. łańc. ocz. w 1 ścis. o. tejże kolei.—4 kolej: ciągle 1 ścis. łańc. o. w każde o. 2 kolei, ale pomiędzy dwoma środkowymi ścis. łańc. ocz. wykonanymi w każdej fig. wykonać pikot potrójny, 3 razy naprzemian: 5 pow. o., 1 ścis. łańc. ocz. w 1 z tychże, potem 1 ścis.



Nr 15—22. Bielizna do pościeli (do ryc. Nr 32—35, oraz 38, 39 i 41 w Bl. Nr 38).

łańc. ocz. w ostatnie znajdujące się przed ścis. ocz. potrójnego pikotu, na koniec 1 ścis. łańc. o. w 1 łańc. ocz. tejże kolei.

Koszyczek na klucze ozdobiony haftem.

Rycina Nr 27. (Deseń pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 38).

Koszyczek z trzciny częścią pozłacany, ozdobiony haftem podług fig. 38, wykonany na pluszu koloru oliwkowego. Wewnątrz przybrany aksamitem fałdowanym koloru poziomkowego. Tęż koloru kokardy, bąbelki jedwabne oraz sznureczki. Haft wykonać na podkładzie z bawełny rozmaitego koloru rozpolowioną filozelą ścięciem płaskim. Kwiaty gwiazdkowe oraz pączki jedwabiem żółtym w kilku cieniach. Figury liściowe, gałązki i kielichy filozelą oliwkowego koloru. Niezapominajki niebieską filozelą i jedwabiem żółtym. Kwiatki dzwonkowe, kolorem poziomkowym i sznelą w ciemniejszym kolorze.



Nr 5. Koszula dla chłopczyka od 3—5 lat. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 64—67).

Koszyczek na łyżeczki do herbaty ozdobiony haftem.

Rycina Nr 28. (Deseń pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 38).

Koszyczek złożony, przybrany wewnątrz bufiasto materyałem jedwabnym koloru jasno - oliwkowego, dno zaś pluszem koloru poziomkowego, na którym wykonać deseni przeznaczony i opisany do ryciny Nr 27. Górny brzeg koszyeczka okrzęcony wstążką rep-sową 2½ centim. szer. koloru jasno - oliwkowego, tęż koloru kokardy i bąbelki jedwabne koloru poziomkowego.

Koronka do serwetki Nr 34 (robotą klockową).

Rycina Nr 29 i 33.

Koronka wykonana 27 parami klocków niemi angielskimi koronkowymi Nr 16. Po

przygotowaniu wzorka podług ryc. Nr 35, umocować takowy na poduszce, wpiąć po szpilce w dziurkę 1 do 11 i zawiesić po parze klocków na 1, 3, 5, 6, 8 do 11 szpil., na 4 i 7 szpil. po 4 pary; 1 i 2 parą wykonać pół-ścieg; jeden po drugim klocku dołożyć na prawo poduszki 3 p. i 2 parą wykonać ścieg cerowany przez te 3 pary. Następnie 4 p. okręcić; 1 śc. podwójny, 5 i 6 p. Szp. wyjąć z dz. 2 i pomiędzy 4 a 5 p. w tę samą wpiąć dz. *, ścieg cerowany 5 i 2 p., 2 p. okręcić, 1 poł. śc. 2 i 1 p. Szp. wp. w dz. 12. Śc. cerow. 2 do 5 p., 5 p. okręć. * szp. w dz. 13 wpiąć od * do *, raz powtórz. i szp. wp. w dz. 14, potem 3 pół. śc. 6 i 7 p. 1 pół. śc. 8 i 9, 10 i 11 p., poczem pół. śc. 7 i 8 p. Szpil. wp. w dz. 15 i zamknąć 1 pół. śc. 6 i 7 p., szp. wp. w dz. 16 i zamknąć; 1 pół. śc. 12 i 13 p. 14 i 15 p., potem 1 pół. śc. 14 i 13 p. Szp. wp. w dz. 17 i zamknąć; 1 pół. śc. 13 i 12 p. Szp. wp. w dz. 18 i zamknąć; 1 pół. śc. 11 i 12 p. Szp. w dz. 19 i zamkn., 1 pół. śc. 12 i 13 p. Szpil. wp. w dziur. 20 i zamknąć. Po okręceniu 9 i 10 p. wykonać 7 do 12 p. pół. pajęczka, potem ścieg cerow. 9 do 7 p., 7 p. okręć., 1 pół. śc. 7 i 6 p. Szp. w dz. 21 i zamkn. 1 pół. ścieg 6 i 5 p. Szpil. w dz. 22 i zamkn. Wpiąć szpil. pomiędzy 4 i 5 p. w dz. 23, poczem od * do * powtórz. i szpil. w dz. 24 wpiąć. Śc. cer. 10 i 12 p. 12 p. okr. 1 pół. śc. 12 i 13 p. Szp. w dz. 25 i zamkn. 20 i 21 p. pół. śc., 22 i 23, 24 i 25 po 1 podwójn. śc., potem śc. cerow. 22 do 20 p., 20 p. okręć., 1 ścieg cerow. 22 i 21 p. okręć. 1 pół. śc. 21 i 20 p. Szp. w dz. 26, i zamkn. pół. śc., poczem 14 do 21 p. od dz. 27



Nr 23. Część tylna sukni panny młodej (do ryc. Nr 1).

Nr 24. Część tylna sukni panny młodej (do ryc. Nr 2).

Serwetka (ścieg płaski, przezroczyście i robota klockowa).

Rycina Nr 34. (Deseń odwr. str. tabl. Nr XIV, fig. 73-75).

Serwetka wielkości 74 c. oprócz koronki, mającej 6 c. szer., złożona z 4 kwadratów 34 c. wielk., wykonana na średnicy grubości lnianej tkaninie haftem kolorowym. Kwadraty przedzielone wstawką przezroczystą.

Rycina Nr 34 przedstawia część tej wstawki wielkości oryginalnej razem z kwadratem.

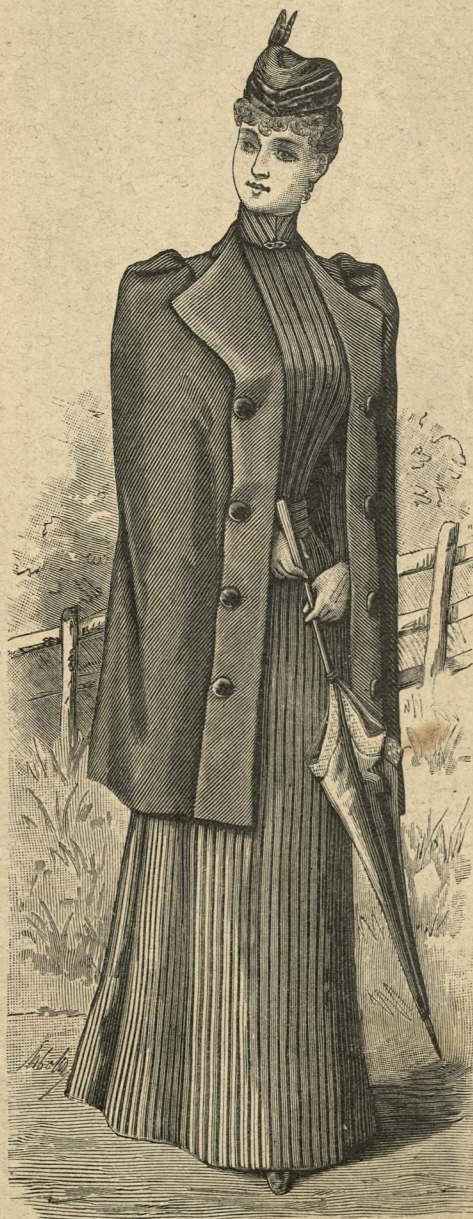
Rycina Nr 32 i 33 deseni na haft, rycina zaś 31 i 35 otaczającą koronkę szerokości oryginalnej.

Cheąc wykonać wstawkę, należy powyżej obróbka z mereszki, na co należy wyciągnąć 6 nitki tkaniny, naprzemian 4 razy $\frac{1}{2}$ c. szer. materiału opuścić i na 1 cent. szer. nitki wzdłuż wyciągać, z uwzględnieniem jednak fig. narożnej, na którą wyciągnąć nitki odpowiednio do ryc. 34. Następnie otoczyć brzegi ściegiem ściśle dzierganym cienką białą krętą bawełną i wykonać na opuszczonych nitkach, jako też na brzegu wewnętrznym szlaku, ścieg krzyżowy grubą bawełną, przyczem ciągle przejmować 6 nitki na przecięci, a ściegi krzyżowe przesywać podług ryc. rodzajem stebnówki też samą bawełną. Przeciaki zaś jeszcze wolne, częścią przerabiać razem supełkiem wzdłuż środka, a częścią podług ryc. kilka razy przewiązywać bawełną. Po rogach wykonać jeszcze pojedyncze ściegi bawełną. Po wykończeniu roboty przezroczyściej, przenieść na pojedyncze kwadraty haft podług ryc. Nr 32 i 33, oraz podług fig. 73 do 75 tablicy i wykonać

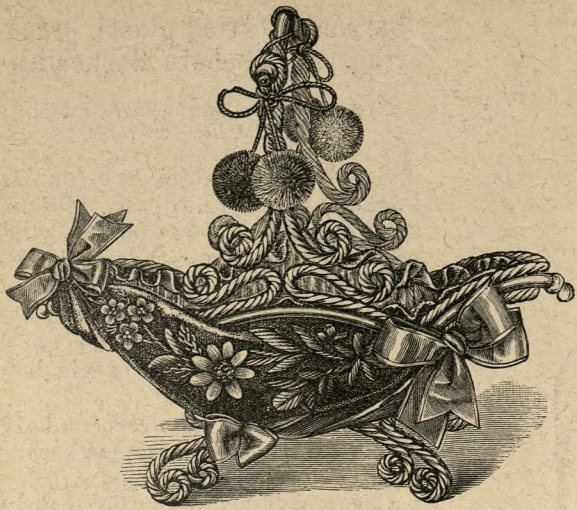


Nr 25. Suknia z fularu i koronki. (Opis odwr. str. tabl.).

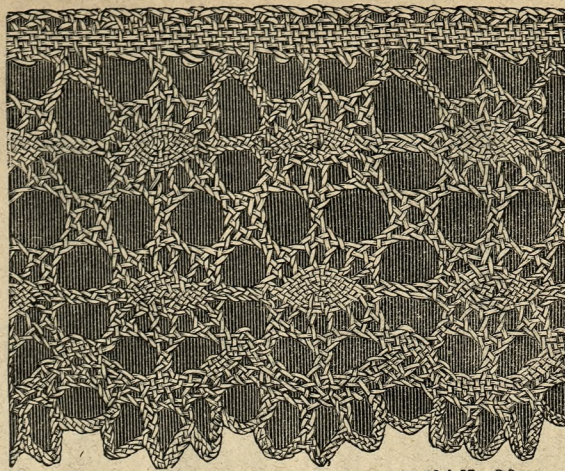
do 33 pół. fig. jak poprzednie: 13 i 14 pół. śc., szp. w dz. 34 i zamkn. 1 pół. śc. 13 i 12 p., szp. w dz. 35 i zamkn., śc. cerow. 12 i 10 p. 1 pół. śc. 6 i 7 p., szp. w dz. 36 i zamkn., śc. cerow. 7 do 9 p., 1 śc. cerow. 9 i 10 p., szp. wpiąć pomiędzy p. w dz. 37 i rozpoczynając od 9 i 10 p. wykonać drugą poł. pajęczka, poczem też same pary okręć. 6 i 7 p., 7, 8, 12 i 13, 11 i 12 p. po pół. śc. wykonać; szpil. w dziur. 38 do 41 i każdą zamkn. 1 pół. ściegiem, 1 pół. śc. 8 i 9 p., oraz 10 i 11 p., 1 pół. śc. 10 i 9 p. Szpil. w dz. 42, potem 8 i 9, 10 i 11, jakby jedną p. 1 pół. ścieg, poczem obydwie środkowe klocki skrzyżować, wpiąć szp. w dz. znajdującą się w poniżej położonej figurze następnej i wykonać 8 do 11 po pół. śc. jak poprzednio. Po wykonaniu 6 i 7 p. 3 pół. śc. pozostawić prosty brzeg koronki, rozpoczynając od dz. 43 do dziur. 45, wykonać 1 pół. ścieg 5 i 6 p. Szpil. w dziur. 45 i zamknąć 1 pół. śc. 6 i 7 p. Szpil. w dz. 46 i 3 pół. śc. zamknąć, potem brzeg, przy czem szpilkę w dz. 47 wpiąć. Potem, jak poprzednio szpilkę w dz. 48 i 49, 6 i 7 p. 3 pół. śc. wykonać. Następnie rząd łukowaty, jak następuje: 1 pół. ścieg 24 i 25 p., szpilkę w dz. 50 i zamknąć 1 pół. śc. 24 i 23 p. 1 śc. cerow. 23 i 22 p. Szpil. w dziur. 51, śc. cerow. 22 do 24 p., 24 p. okręć., pół. śc. 26 i 27 p., Szpil. w dziur. 52 i zamknąć, potem pomiędzy 25 i 24 p. wpiąć szpilkę w dziurkę 53, 1 podwój. śc. cerow. 24 do 22 p., Szpil. w dz. 54 i śc. cerow. 22 do 24 p., 24 p. okręć., 1 pół. śc. 24 i 25 p., 2 śc. podwój. 27 i 26 p. Szp. w dz. 55, 2 podw. śc. temiz par., 1 pół. śc. 26 i 25 p., Szp. w dz. 56 i zamkn. Potem wp. szp. pomiędzy 25 i 24 p. w dz. 57, 1 pół. śc. temiz par., śc. cerow. 24 do 22 p., 22 p. okręć. $\frac{1}{2}$ 1 pół. śc. 22 i 21 p., Szpil. w dz. 58, poczem od dz. 59 do 67 jak od dziur. 35 do 42. Po wykonaniu 15, 14, oraz 13 i 12 p. małego kwadratu pół. śc. i wpięciem szpil. w dz. 68 do 75 powtórzyć od $\frac{1}{2}$ do $\frac{1}{2}$ dwa razy i szp. wp. w dziur. 76 do 83. Następnie 2 podwój. śc. 20 i 21 p., ścieg cerow. 22 do 24 p., 24 p. okręć. 1 śc. podw. 24 i 25 p., śc. cerow. 24 do 23 p., okręć. 1 śc. podwój. 22 i 23 p., 1 pół. śc. 25 i 24 p., Szpil. w dziur. 84 i zamkn., 1 podw. śc. 24 i 23 p., potem 21 i 20 p. okręć. 1 podwój. śc. 20 i 21 p., Szp. w dz. 85 i śc. podw. zamknąć. śc. cerow. 22 do 20 p. okręć. śc. cerow. 23 do 21 p., 21 p. okręć. poczem 3 pół. śc. 20 i 21 p., następnie 2 podwójne śc. 26 i 27 p. Szpilkę w dziur. 86 i podwój. śc. zamknąć, 1 podwój. śc. 25 i 24 p. śc. cerow. 24 do 22 p. Szpil. w dz. 87, potem od dziur. 51 powtórzyć i wykończyć robotę przy pomocy wskazówek.



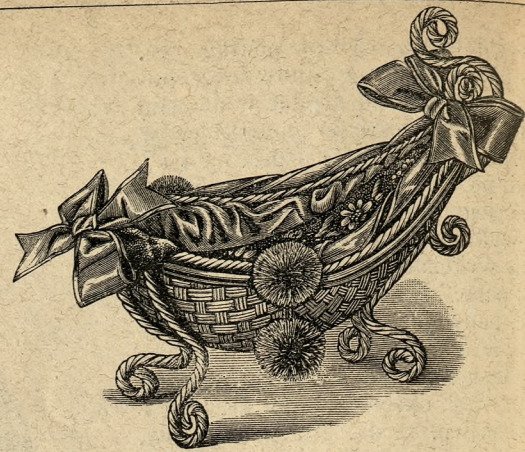
Nr 26. Mantylka (cape) z sukna. (Krój fig. I-IV, opis odwr. str. tabl.).



Nr 27 Koszyzek na klucze ozdobiony haftem
(Deseń pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 38).



Nr 29. Koronka klockowa do serwetki Nr 36
(wielkość oryginalna do ryc. Nr 33).



Nr 28. Koszyzek na łyżeczki do herbaty ozdobiony haftem. (Deseń pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 38).

haft filozelą do prania ścięciem płaskim. Wykończyć całość podług ryciny i otoczyć koronką ryc. Nr 31.

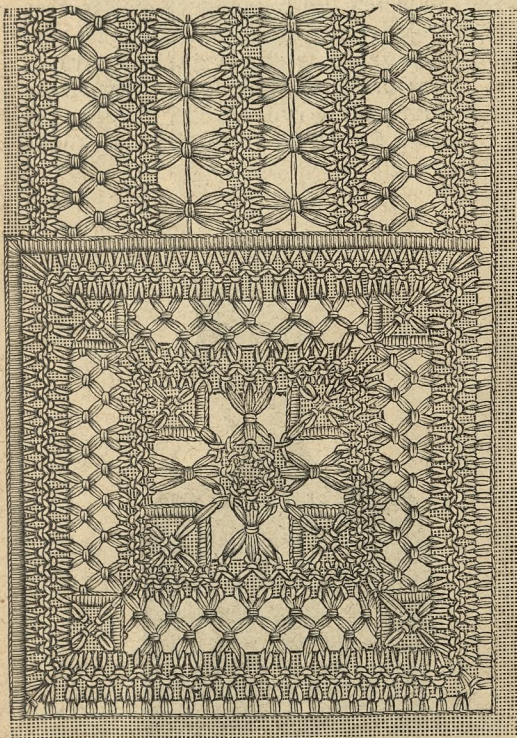
Przepisy gospodarskie.

Kapłon z imbirem
na podobieństwo bażanta.

Upiec na rożnie dobrego młodego kapłona, naszpikowawszy



Nr 30 i 31. Figury
haftowane do ryc. Nr 34
(wielkość oryginalna).



Nr 32. Część szlaku do serwetki Nr 34
(ściąg przezroczysty, wielkość oryginalna).

piersi młodą słoniną w cieniutkie paseczki krajaną. Oddzielnie zrobić farsz z dwóch łyżek tartej bułki, łyżki młodego masła, trzech nie więcej ziarek jałowcu i kawałeczka małego imbiru, te korzenie utłuczone jak najdrobniej, przesiane i wymieszane z bułką i masłem. Zdjąwszy kapłona z rożna, ponakrawać piersi i uda, ponakładać farszu, polać młodem masłem z bułeczka i podać na stół. L. C.

Obiad na Niedzielę.

1. Rosół z jarzynami.
2. Sztuka mięsa z ogórkiem.
3. Kapusta włoska.
4. Pieczeń barania à la sarna.
5. Szarlotka z jabłek.



Nr 34. Serwetka (ściąg płaski przezroczysty i robota klockowa)
do ryc. Nr 29—33. (Deseń odwr. str. tabl. Nr XIV, fig. 73—75).

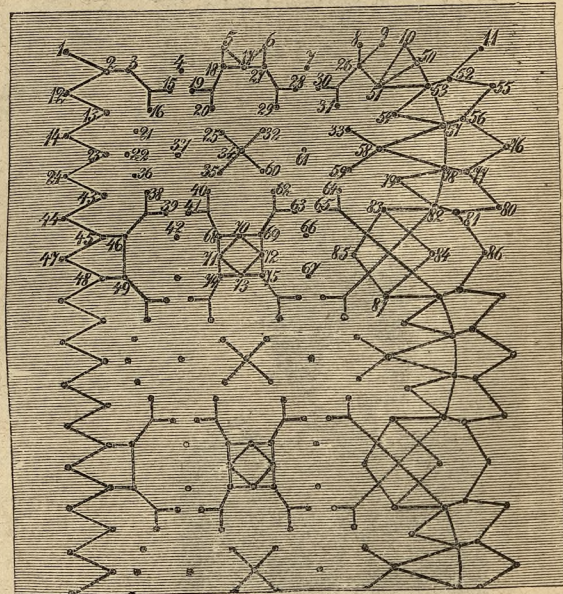
KORESPONDENCYA.

Odp. pannie A. R. z Ż.

Dla panny po 40-tu latach, suknia niebieska do ślubu b. właściwa. Może być jednak i biała, w każdym razie puszczone warkocze są nie właściwe, najlepiej w kapelusiku z bukietem pomarańczowego kwiatu, lub jeżeli wieczorem ślub się ma odbyć, diadem pomarańczowy z welonem lub bez welonu.

Odp. pani H. S.

Zakład się wyprowadził, — najlepiej dowiedzieć się w składach pościeli. W 3-m wydaniu



Nr 33. Wzorek na koronkę Nr 29.

„Poradnika porządku“ przez autorkę 365 obiadów, znajdzie pani dokładny przepis oczyszczenia pierzy i puchu w domu.

Uwaga.

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, odnosząca się do wzorów w tym i w przyszłym numerze „Bluszczu“ podać się mających.